

Wydawnictwo Miejskie

GAZETA
ŚREMSKA

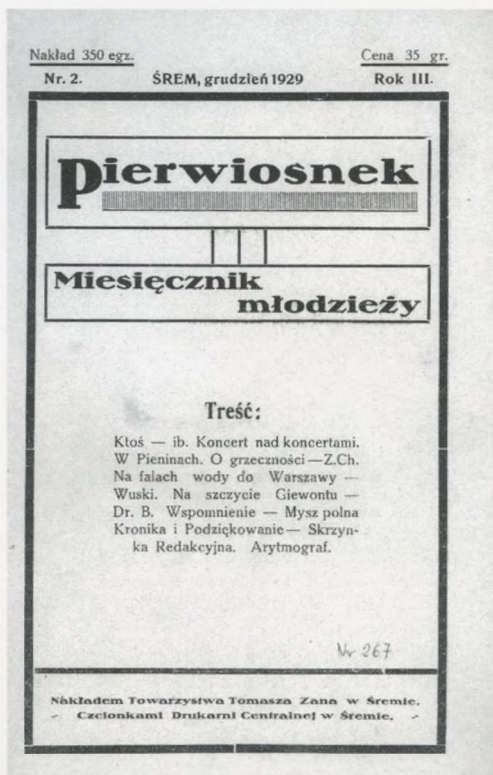
Śremskie inspiracje teatralne

okładka: mariusz dziuba 0600 32 85 22

ISSN 1232-7476 MIESIĘCZNIK NR3 (145) MARZEC 2001 ROK XI CENA 2.00;

**MUZEUM ŚREMSKIE
ZAPRASZA
NA
WYSTAWĘ**

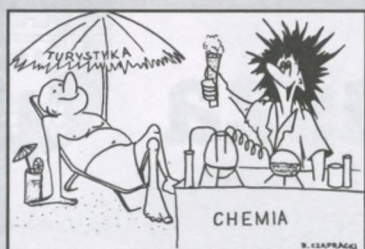
**W OBRONIE MOWY I KULTURY
OJCZYSTEJ
(u źródeł śremskich organizacji społecznych)**



Pierwiosnek redagowany od lipca 1883 r. jako organ tajnego stowarzyszenia „Marianie”

marzec - maj 2001

W numerze marcowym:



Nabór na studia w Śremie 7



**Emancypantka
przełomu wieków 16**



Ekologiczne śmieci 8



DZIECI PISARZA cz. II 22



**Moje sadownicze
Zakopane sprzed 50 lat 12**



**Czy Piłsudski nie chciał
Wielkopolski? cz. II 28**

Wieści z ratusza



ZESPÓŁ OBSŁUGI KLIEN- TA W URZĘDZIE MIEJSKIM ZAPRASZA

Informujemy, że od dnia 1 kwietnia 2001 roku wraz ze zmianą struktury organizacyjnej Urzędu Miejskiego rusza Zespół Obsługi Klienta, który zapewni wszystkim interesantom najlepszą obsługę w sprawach, które państwo załatwiają w Urzędzie Miejskim w Śremie.

Zespół Obsługi Klienta jest do Państwa dyspozycji od poniedziałku do piątku:

poniedziałek

8.00 – 16.00

wtorek-piątek

7.00 – 16.00

- udzielimy informacji o sposobie i trybie załatwiania spraw w Urzędzie,
- przyjmujemy każdą korespondencję,
- udostępnimy wzory wniosków,
- udostępnimy przepisy prawa miejscowego i inne akty prawne,
- podejmiemy czynności interwencyjne,
- udostępnimy wykazy nieruchomości przeznaczonych do sprzedaży, dzierżawy lub najmu,
- udzielimy porad w sprawach mieszkaniowych,
- przyjmujemy wpłaty i opłaty administracyjne,
- udostępnimy specyfikację przetargową,
- prowadzimy sprzedaż znaków skarbowych i emblematów taxi.

W Zespole Obsługi Klienta uzyskają Państwo:

- * pozwolenie na działalność gospodarczą,



* zaświadczenie o przeznaczeniu terenu w miejscowych planach zagospodarowania przestrzennego,

* zezwolenie na sprzedaż napojów alkoholowych,

* zezwolenie na wykonywanie krajowego drogowego transportu osób,

* decyzję o warunkach zabudowy i zagospodarowania terenu.

Gwarantujemy pełną, profesjonalną i fachową obsługę.

Stawiamy na jakość i kompleksowość świadczonych usług.

ZAPRASZAMY już od 1 kwietnia.

Parter – pokój nr 2.

CHARGÉ D'AFFAIRES AMBASADY MEKSYKU W POLSCE ZAFASCYNOWANY ZIEMIĄ ŚREMSKĄ

14 lutego 2001 roku gościem Burmistrza Śremu był chargé d'affaires ambasady Meksyku w Polsce Everardo Corona, przybyły do naszego miasta, aby wziąć udział w Forum Turystyki i Agroturystyki Regionu Śremskiego, które odbyło się tego dnia w sali filii Zespołu Szkół Rolniczych. Organizatorami forum byli Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości, Komisja ds. Turystyki Unii Gospodarczej Miast regionu Śremskiego oraz Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Śremie, a otworzył je Burmistrz Marek Basaj. Pierwszy kontakt gościa z naszym regionem nastąpił podczas targów w Poznaniu; zachwycił się on pięknem śremskiej ziemi i profesjonalnie wykonanymi materiałami promocyjnymi. Postanowił bacniej przyrzeć się naszej pięknej okolicy i naocznie prze-



konać się o jej walorach. Pan Everardo Corona złożył wizytę Burmistrzowi Śremu, rozmowa miała miejsce w Ratuszu, w gabinecie Burmistrza. Następnie obaj panowie udali się na specjalnie zwołaną konferencję prasową, by zaspokoić ogromne zainteresowanie mediów lokalnych, jakie towarzyszyło przybyciu znakomitego gościa. Burmistrz Śremu oraz chargé d'affaires ambasady Meksyku zasygnalizowali sobie płaszczyzny ewentualnego wzajemnego porozumienia, jednak odległość naszych krajów nie pozwala na szybkie zacieśnienie stosunków. Pan Everardo jest zainteresowany bliższym poznaniem regionu, w nawiązaniu współpracy zamierza korzystać z doświadczeń, jakie Meksyk zdobył po włączeniu w struktury NAFTA – zwłaszcza w zakresie ochrony środowiska, rozwoju turystyki i agroturystyki, bowiem Meksyk ma doskonale rozwiniętą bazę agroturystyczną i jest to dla tego kraju ważny element oferty turystycznej, zarówno w sektorze prywatnym jak i publicznym.

INFORMACJA O NABORZE NA 3-LETNIE DZIENNE BEZPŁATNE STUDIA LICENCJACKIE NA UAM W POZNANIU Z REALIZACJĄ ZAJĘĆ DYDAKTYCZNYCH W ŚREMIE

Informujemy, że od nowego roku szkolnego będzie można pobierać nauki na poziomie wyższym w naszym mieście. Nabór odbędzie się na 3 letnie dzienne bezpłatne studia licencjackie na Uniwersytecie im.

Adama Mickiewicza w Poznaniu z realizacją zajęć dydaktycznych w Śremie, w zakresie:

1. chemii – specjalność chemia materiałowa, na wydziale chemii UAM w Poznaniu
2. rekreacji i turystyki, na wydziale geografii i geologii UAM w Poznaniu. Studentem chemii można stać się po



pomyślnym przejściu egzaminu w formie rozmowy kwalifikacyjnej, natomiast na rekreację i turystykę droga wiedzie poprzez egzamin testowy z geografii i rozmowę kwalifikacyjną. W ramach podpisanej w ubiegłym roku umowy bezpłatne studia w naszym mieście będzie mogło podjąć stu studentów, po pięćdziesięciu na każdym kierunku. Zarówno chemia materiałowa jak i rekreacja i turystyka są wykładane tylko w Poznaniu. Śrem stanie się zatem drugim w regionie ośrodkiem akademickim prowadzącym studia w wymienionym zakresie. Wszelkich informacji osobom zainteresowanym podjęciem studiów w Śremie udziela prof. dr hab. Jerzy Langer, tel. 28 35 511 oraz Adam Lewandowski, kierownik Wydziału Oświaty, Kultury i Sportu Urzędu Miejskiego w Śremie, tel. 28 35 225 w. 143. Informacji na temat naboru udzielają:

- Dział Nauczania UAM w Poznaniu, ul. Wieniawskiego 1, tel. 829 43 76,

- Dziekanat Wydziału Geografii i Geologii, tel. 829 45 63,

- Dziekanat Wydziału Chemii, tel. 829 13 91.

Bardzo istotne jest, że po ukończeniu studiów licencjackich w Śremie istnieje możliwość kontynuacji nauki na studiach magisterskich. Jednocześnie informujemy, że na temat programów nauczania oraz wymagań egzaminacyjnych można również uzyskać informacje podczas dni otwartych zorganizowanych na wydziałach, o których mowa.

Dni otwarte na Wydziale Chemii UAM w Poznaniu odbędą się 10 marca 2001 roku o godz. 12.00 w auli Collegium Chemicum w Poznaniu, ul. Grunwaldzka 6.

Dni Otwarte na Wydziale Geografii i Geologii w Poznaniu odbędą się 10 marca 2001 roku w Poznaniu w Collegium Maius, sala Śniadeckich, ul. Fredry 10.

OFICJALNY SERWIS INTERNETOWY GMINY ŚREM

Informujemy, że strony internetowe gminy Śrem, które już od kilku lat można zobaczyć pod adresem <http://www.srem.pl> już niedługo ulegną poszerzeniu i przebudowie. Już teraz opracowano nowy oficjalny serwis internetowy gminy Śrem, który posłuży za podstawę do wprowadzenia wszelkich innowacji. Oprócz ulepszonej witryny znajdą tam Państwo linki do wszystkich interesujących wirtualnych serwisów dotyczących Śremu i ziemi śremskiej, a także informacje ogólne o gminie, współpracy zagranicznej – miastach partnerskich Śremu, edukacji, turystyce i wypoczynku, ekologii, inwestycjach i nieruchomościach, przetargach ogłoszeniach oraz gminnej ofercie kulturalnej i sportowej. Nowością będą informacje o radnych zasiadających w Radzie Miejskiej – zdjęcia rajców oraz numery kontaktowe rajców. Znajdą tam Państwo również skrzynkę kontaktową – e-mail do Urzędu Miejskiego, do korzystania z którego bardzo serdecznie Państwa zapraszamy, prosimy o wszelkie uwagi, opinie i komentarze.

Zespół Obsługi Klienta, o którym piszemy powyżej, również bę-

dzie funkcjonował w internecie – uzyskają Państwo tą drogą najważniejsze informacje dotyczące trybu i sposobu załatwiania w Urzędzie spraw, a także, co najważniejsze – wzory wniosków niezbędnych przy ubieganiu się o wydanie decyzji administracyjnej, będzie je można obejrzeć, a nawet wydrukować.

PIERWSZE ŚREMIANKI ERY WODNIKA

Ponieważ czasy, w których żyjemy są wyjątkowe, równie wyjątkowo potraktowano przyjście na świat małych Śremitów przełomu wieków i tysiącleci. 2 stycznia 2001 roku urodziła się w śremskim szpitalu pierwsza in tertio millenium obywatelka naszego miasta – Patrycja Mądra. Wizytę młodej mamie i jej oóreczce złożył Burmistrz Śremu Marek Basaj, by złożyć gratulacje i wręczyć kwiaty szczęśliwej rodzinie. Wkrótce potem, by uhonorować te szczególne narodziny, Burmistrz wręczył rodzinie prezent – pralkę automatyczną, a całe wydarzenie upamiętniono uroczystym wpisem do Księgi Gości śremskiego ratusza.

Warto zaznaczyć, że również w roku 2000 jako pierwsza 1 stycznia przyszła na świat dziewczynka – Julita Jędrzejczak, wówczas rodzice otrzymali w prezencie lodówkę, a PZU Życie wspólnie z gminą ufundowały małej polisę posagową. 2000 – dziewczynka, 2001 – dziewczynka... kobiety znowu, czy wreszcie góra? Dziewczyny, tak trzymać.



LAURY KULTURALNE I SPORTOWE

28 lutego 2001 roku w Śremskim Ośrodku Kultury odbyła się ceremonia wręczenia przez Burmistrza Śremu laurów kulturalnych i sportowych najlepszym stowarzyszeniom, klubom, zawodnikom oraz liderom i animatorom kultury i sportu naszej gminy. Poniżej lista uhonorowanych:

W kategorii „laur kulturalny”:

1. Towarzystwo Miłośników Śremu – za cenę inicjatywy związane z tradycją naszego regionu oraz propagowanie idei regionalizmu,

2. Towarzystwo Muzyczne im. Mariana Zielińskiego w Śremie – za propagowanie tradycji muzycznych naszego regionu,

3. Koło Śpiewackie im. Stanisława Moniuszki w Śremie – za propagowanie tradycji towarzystw śpiewających naszego regionu,

4. Zespół Taneczny DEFOR – uczestnik Międzynarodowego Festiwalu Tańca w Koninie,

5. Zespół Taneczny ETNA – uczestnik Międzynarodowego Festiwalu Tańca w Koninie,

6. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy – Pan Grzegorz Pawlak – śremska edycja,

7. Pani Barbara Jahns – propagator idei regionalizmu śremskiego,

8. Pan Andrzej Szubert – propagator kultury w regionie, inicjator wielu działań kulturalnych w środowisku wiejskim,

9. ŚREMSONG – Pan Janusz Skotarczak – za ideę Festiwalu Piosenki Religijnej,

10. Pan Krzysztof Maciejewski – muzyk regionalny, twórca corocznych prezentacji artystycznych,

11. Pan Jerzy Jurga – artysta malarz, twórca i prowadzący Galerię 99 w Muzeum Śremskim,

12. Pan Zbigniew Gordziej – twórca regionalny poeta, pisarz, współredagujący Tydzień Ziemi Śremskiej.

W kategorii „laur sportowy”:

1. Ludowy Klub Sportowy PIAST – za sukcesy siatekarek oraz szachistów,

2. Klub Sportowy RAPID – klub działający wg zasad marketingu, jego zawodnicy osiągają najwyższe sukcesy sportowe, oraz najlepszy zawodnik – Krzysztof Łabutka,



3. Klub sportowy WODNIK, bardzo szybko i prężnie rozwijający się klub; zawodnicy uzyskują wiele sukcesów sportowych, oraz najlepsza zawodniczka – Agnieszka Piasecka,

4. UKS Szóstka – za szkolenie młodzieży w zakresie piłki nożnej i organizację imprez piłkarskich, oraz najlepszy zawodnik – Przemysław Królak,

5. Ognisko TKKF SOKÓŁ Śrem – za kontynuację i tworzenie nowej tradycji kręglarskiej i organizację międzynarodowych turniejów kręglarskich,

6. Szkolny Związek Sportowy – za popularyzację sportu wśród dzieci i młodzieży poprzez organizację imprez w sportach indywidualnych i grach zespołowych,

7. Towarzystwo Śremskich Amazonek – za popularyzację idei sportowych wśród członków Towarzystwa,

8. Pani Ewa Dworczyk LKS PIAST – za propagowanie piłki siatkowej wśród dziewcząt szkół średnich,

9. WOPR – drużyna WOPR na rzece Warcie – za uaktywnienie drużyny ratowniczej na rzece Warcie, a tym samym ożywienie ruchu turystycznego w tym regionie i zapewnienie bezpieczeństwa dla wypoczywających, oraz organizację imprez w tym zakresie,

10. Bractwo Kurkowe – Król Miarian Waligórski – za popularyzację tradycji Bractwa Kurkowego, podkreślenie doniosłości tychże tradycji.

Wszyscy laureaci otrzymali laur – wspianą dyplom oraz wydawnictwa książkowe, a najlepsi zawodnicy – encyklopedię multimedialną „Millenium”.

Anna GRABOWSKA

Biuro Promocji Urzędu Miejskiego w Śremie

Laur Kulturalny

i sportowy
Burmistrza Śremu



Foto: B. JAHNS

Śrem, luty 2001 r.

Nabór na studia w Śremie

Wielu absolwentów szkół ponadgimnazjalnych, którzy zdali egzaminy maturalne lub zrobią to w najbliższym czasie zastanawia się nad wyborem przyszłej drogi edukacyjnej, ba pewno i zawodowej. Czy jest oferta edukacyjna dla tych absolwentów? Dla niektórych barierą nie do pokonania stają się sprawy materialne: przecież studia wymagają środków finansowych. Czy i dla nich jest oferta? Jest, ale o tym w dalszej części. Czy zależy społeczeństwu gminy Śrem na powstaniu w naszym mieście ośrodka akademickiego? Zapewne tak.

28 sierpnia 2000 roku została podpisana pomiędzy Uniwersytetem im. A. Mickiewicza w Poznaniu, a gminą Śrem umowa na realizację w Śremie zajęć dydaktycznych w zakresie 3-letnich bezpłatnych, dziennych studiów licencjackich. W umowie zawarto zapis, z którego wynikają kierunki kształcenia:

- Wydział Chemii -

kierunek: chemia ze specjalnością chemia materiałów. Kierunek ten daje szerokie możliwości poznawcze, szczególnie w zakresie nowości archeometrycznych, a więc badania pochodzenia i wieku poprzez zastosowanie badań chemicznych,

- Wydział Geografii i Geologii - **kierunek: rekreacja i turystyka**, tym bardziej atrakcyjny, że realizowany przez Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu.

Zgodnie z umową, w Śremie może pobierać edukację 100 przyszłych studentów. W miesiącu lutym br. Zarząd Miejski w Śremie rozpoczął intensywne działania mające na celu popularyzację w/w formy edukacji. We wszystkich gazetach lokalnych rozpoczęto publikacje informujące o naborze, gdzie wskazano pełne źródło informacji o kierunkach studiów:

prof. dr hab. Jerzy Langer, tel. 2833511,
mgr Adam Lewandowski, tel. 2835225 w. 143,
Wydział Chemii, 8291391,

Wydział Geografii i Geologii, 8294563,
Dział Nauczania Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, ul. Wieniawskiego 1, tel. 8294376.

W miesiącu lutym br. odbyły się Targi Edukacyjne zorganizowane przez poznańskie uczelnie, podczas których można było zapoznać się z najnowszą ofertą uniwersytecką.

W dniach 27 lutego i 1 marca br. odbyły się spotkania we wszystkich szkołach ponadgimnazjalnych powiatu śremskiego, podczas których przedstawiciele Uniwersyte-

tu im. A. Mickiewicza w Poznaniu oraz Zarządu Miejskiego w Śremie przedstawili pełną informację na temat naboru.

10 marca o godz. 10.00 Dziekan Wydziału Geografii i Geologii organizuje w Poznaniu przy ulicy Fredry, w Collegium Mias Drzwi Otwarte, podczas których można się również wszystkiego dowiedzieć o kierunku **turystyka i rekreacja.**

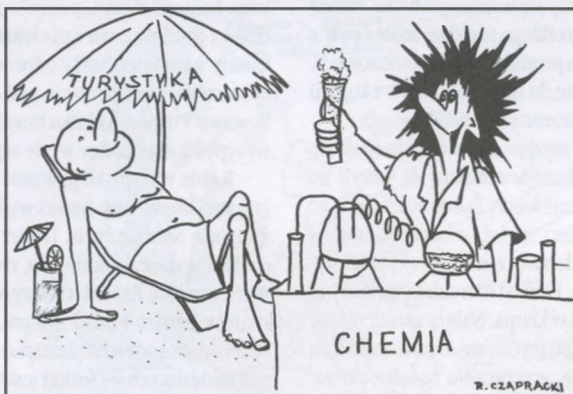
10 marca o godz. 12.00 Dziekan Wydziału Chemii organizuje w Poznaniu przy ulicy Grunwaldzkiej, w Collegium Chemicum Drzwi Otwarte, podczas których można się również wszystkiego dowiedzieć o kierunku **studiów chemia ze specjalnością chemia materiałów.**

Podczas III Targów Edukacyjnych w Śremie, które odbędą się w ostatni piątek marca br. zostanie również zaprezentowana oferta dla kandydatów na studia uniwersyteckie w Śremie.

Jednocześnie pragnę poinformować, że równolegle z naborem prowadzone są intensywne prace przygotowawcze do rozpoczęcia inwestycji zaadaptowania budynku przy ulicy Grunwaldzkiej (nieruchomość przekazana na własność gminie Śrem przez Wojewodę Wielkopolskiego) na cele oświatowe - akademickie. W najbliższym czasie rozstrzygnięte zostanie postępowanie publiczne na wykonanie dokumentacji adaptacji budynku. W uchwale budżetowej gminy Śrem na 2001 rok zapisano na realizację tej inwestycji 500.000 zł.

Gorąco namawiamy na studia w Śremie.

Adam LEWANDOWSKI



Ekologiczne śmieci

Ekologia jest nauką zajmującą się relacjami między żywymi organizmami a środowiskiem ich życia. Obecnie terminy *ekologia*, *ekologiczny* stały się synonimami ochrony środowiska, mimo że nauką o podstawach ochrony przyrody, przyczynach i skutkach przemian w środowisku przyrodniczym nazywa się *sozologia*. (Nawiasem mówiąc, termin ten wprowadził do nauki polski geolog Walerian Goetel). Skoro jednak przyjęto mówić o *rolnictwie ekologicznym*, a nawet o *pralniach ekologicznych* pozostajmy przy tej nazwie.

Czy śmieci mogą być „ekologiczne”? Mowy nie ma! Zawsze były na bakier z ochroną przyrody, ale w miarę rozwoju kultury materialnej („cywilizacji”), odpady przemysłowe i domowe stały się dokuczliwe i zagraziły zdrowiu i życiu ludzi.

Odpady przemysłowe liczy się w milionach ton. Należą do nich odpady z kopalni wszelkiego rodzaju, żużle i pyły z elektrowni, odpady z różnych produkcji wielkotonażowych. Biurokratycznie nie zalicza się do nich nadkładów z kopalni odkrywkowych, choć praktycznie są odpadami.

Zostawmy jednak przemysł w pokoju, zajmijmy się koszulą bliższą ciała, odpadami komunalnymi – czyli po prostu śmieciami. Statystycznie każdy Polak tworzy ponad 270 kg śmieci rocznie. Idealiści apelują o ograniczenie tej „produkcji”, niebranie w sklepach reklamówek, stosowanie opakowań zwrotnych itp. Pomysł nierealny, sprzeciwia się mu przemysł opakowań i reklama. Należy raczej skupić się na działaniach zapobiegających śmieceniu: rzucaniu niedopałków gdzie popadnie, wyrzucaniu butelek po napojach z okien samochodów, zaśmiecaniu lasów. Zgroza, jak wyglądają rowy przydrożne i lasy od Tatr do Bałtyku, a przecież nie zrobili tego krasnoludki!

1 stycznia 1997 r. weszła w życie ustawa o *utrzymaniu czystości i porządku w gminach*, zwana potocznie *prawem śmieciowym*. Do licznych obowiązków gmin należy również zapewnienie budowy, utrzymywanie i eksploatacja składowisk odpadów komunalnych oraz obiektów ich wykorzystywania lub unieszkodliwiania zbiórek i segregacji odpadów. Zaletą tej ustawy jest to, że jest, natomiast o realizacji... lepiej nie mówić.

Na razie śmieci domowe wywozi się ze śmietników (oficjalnie: *pawilonów śmietnikowych*) na wysypiska. Jest ich w Polsce 680 komunalnych, 1245 przemysłowych i ponad 10 tysięcy „dzikich”. (Zawartość jednego z nich przy budowie ul. Powązkowskiej w Warszawie wywieziono na 1200 ciężarówek!)

Wysypisko śmieci powinno mieć dno nieprzepuszczalne; na Zachodzie wykłada się je grubą folią, u nas tę rolę spełnia warstwa gliny. Jest to uszczelnienie iluzoryczne, gdyż zanieczyszczone wody znajdują jakieś szczeliny, aby

spłynąć głębiej. Jednak i w Polsce bywa jak trzeba. W 1995 r. oddano w Nowym Tomyślu do użytku wysypisko, w którym dno wyłożono 1,5 – mm folią polietylenową, i tak być powinno wszędzie.

Ponieważ wewnątrz hałd śmieci powstaje pod wpływem bakterii metan, pomyślano o jego wykorzystaniu do celów i produkcji energii elektrycznej. Przez odpowiednie kanały wewnątrz hałdy odprowadza się gaz do zbiornika zbiorczego, skąd przesyła pod kotły. Tak wykorzystuje się biogaz w Poznaniu i kilku innych miastach. Ale uciążliwość wysypiska dla okolicy wcale się nie zmniejsza...

Każde wysypisko powinno mieć strefę ochronną, gdyż gnijące i butwiejące śmieci wydzielają zapachy nie przypominające Soir de Paris. [Rzecz względna. Kiedyś oprowadzałem wycieczkę chłopów, delegatów na jakiś zjazd, po Warszawskich Zakładach Farmaceutycznych. W oddziałach syntezy bardzo kręcili nosami, dopiero w laboratoryjnej zwierzętarni odetchnęli: nareszcie jest czym oddychać! Jednak odór tłących się śmieci jest nie do wytrzymania!]. Wiatr roznosi śmieci, szczury i ptaki żerują i roznoszą resztki i zarazki, tu i ówdzie unoszą się dymy i opary z tłących się śmieci; drogi dojazdowe są zaśmiecone, wody gruntowe skażone... Nie można się dziwić, że okoliczna ludność protestuje przeciw wysypiskom – chociaż prawdę mówiąc, lepsze jest nowoczesne, uszczelnione wysypisko od zaśmieconych rowów i lasów!

Z danych Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska wynika, że przeciętna tona naszych śmieci zawiera 110 kg szkła, 270 kg papieru i tektury, 250 kg odpadów organicznych, 120 kg odpadów mineralnych, 70 kg tworzyw sztucznych, 60 kg metali, 40 kg drewna i 80 kg tekstyliów. To przecież cenne surowce i trzeba je wykorzystać – krzyczą *Zieloni*. Teoretycznie mają rację, ale praktycznie rzecz jest niewykonalna. Jak rozdzielić tę brudną, śmierdzącą mieszaninę? Segregacja śmieci dopiero na wysypisku jest nieekonomiczna i niecelowa. Kompostowanie tej mieszaniny daje produkt zanieczyszczony szkłem i innymi „wtrętami”, metalami ciężkimi, a ponadto wcale nie jest tanie. Pozostaje *selektywna zbiórka odpadów*, ich segregacja już w miejscu powstania. Jest to sposób powszechny na Zachodzie, u

nas różnie z tym bywa. *Ten sposób jest dobry przy wysokiej kulturze i dyscyplinie niemieckiej* – mówią „znawcy” – *najpierw trzeba nauczyć ludzi porządku, potem dopiero wprowadzić selektywną zbiórkę śmieci*. Przypomina to przemowę troskliwej mamusi do synka na plaży: *nie wejdiesz do wody, zanim nie nauczysz się pływać!* A słynna niemiecka dyscyplina polega na bacznym dozorze dzielnicowego i... sąsiadów. Niektórzy – nazbyt liczni – oczekują, że integracja z Unią Europejską wymusi na społeczeństwie wzrost poziomu higieny, utrzymywanie czystości i porządku. Dopowiedziałbym tu: *i wszyscy będą zdrowi, bogaci i szczęśliwi*. Skąd się wzięła taka wiara w cuda?

Tymczasem w Polsce są czyste miasta. Nie chcę powoływać się na przykład Wrześnię, Śremu, Krotoszyń, Wolsztynę czy Brodnicę, Sztum, Dzierżonę i wielu innych miast i miasteczek na trasie naszych wędrowek rowerowych (są tam pojemniki na różne rodzaje odpadów), bo utrwalił się stereotyp porządkowej Wielkopolski i Pomorza (nie radzę jednak zapuszczać się w przydrożne zarośla i lasy). Powołałam się na artykuł w *Zielonym Sztandarze* z września 2000 r. Oto w Żywcu powołano w 1991 r. *Związek Komunalny do spraw Ekologii*, obejmujący cały powiat żywiecki i trzy

gminy z powiatów bielskiego i cieszyńskiego. Wśród osiągnięć tego Związku są też działania w zakresie śmieci. Po wstępnej akcji informacyjnej, prowadzonej w szkołach, na zebraniach wiejskich i z ambony, przystąpiono do czynu. Każda posesja, nawet w najodleglejszym zakątku, ma swój zestaw wieszakowo-workowy. Mieszkańcy bezbłędnie wrzucają do właściwych worków osobno szkło kolorowe, szkło bezbarwne, makulaturę, drobny złom metali żelaznych i kolorowych, tworzywa sztuczne, zużyte tekstylia. Przy blokach zbierane są w pojemnikach-kompostnikach kuchenne odpady organiczne i zielsko z ogródków. Na skraju Żywca wybudowano zakład utylizacji odpadów, składający się z sortowni, kompostowni i składowiska odpadów balastowych. Jest również własny zakład przerobu odpadów tworzyw sztucznych (na drobne elementy ogrodowe i różne pojemniki). Surowce wtórne, których nie odbierają huty szkła i metali oraz papiernie, oraz odpady szpitalne i

przetworzone leki wywozi się do spalarni w Krakowie.

Także w warszawskich Młocinach prowadzono od września 1996 r. selekcyjną zbiórkę śmieci organicznych: resztek owoców i warzyw, obierków ziemniaczanych, kości, skorupki jaj, resztek potraw, kawy i herbaty, niepotrzebnej zieleniny z ogródków, mokrego papieru. W ciągu roku przekazano do kompostowni w Radiowie ponad sto ton odpadów, bez szkła i innych zanieczyszczeń mineralnych. A więc można – bez czekania na Unię – segregować śmieci już w miejscu ich powstawania.

Jednak nie wszystko nadaje się do kompostowania lub do odzysku surowców wtórnych. Co zrobić z resztą? Odpowiedź jest prosta: spalać. Tym bardziej, że dyrektywa Unii Europejskiej, ważna od 2002 r., nakazuje zapobieganie

powstawaniu odpadów, zmniejszenie ich ilości i szkodliwości, jak również odzyskiwanie i powtórne wykorzystywanie surowców. Zabronione jest natomiast składowanie odpadów nieprzetworzonych. Przyznaję, nie jestem euroentuzjastą (wręcz przeciwnie), ani zwolennikiem gremialnego „dostosowania polskiego prawa do standardów unijnych”, ale to wcale nie znaczy, że nie trzeba przyjmować rozwiązań

sluszných, a więc i nowego prawa śmieciowego. Jak wiecie niesie, nasz parlament ma wprowadzić tę dyrektywę unijną do naszego prawodawstwa już w lipcu 2001 r....

Spalanie (uczenie: *termiczna utylizacja śmieci*) nie oznacza wrzucania odpadów do ogniska lub do pieca kuchennego, ani nawet pod kotły ciepłowni. Gryzące dymy snujące się przy spalaniu starych opon, odpadów z przetworstwa gumy i PCW, a nawet zwykłych łętów na kartofliskach, aż nadto przemawiają przeciw temu. A taki skutek spalania widzą *Zieloni*, protestujący przeciw spalarniom zarówno w Warszawie, jak w Brwinowie lub w gostyńskich Osinach (między Sokołowem a Sierakówkiem). Zastrzeżenia te opierają się wprawdzie na dobrej wierze, ale wynikają z niewiedzy i niedoinformowania, lub przynajmniej z niewiary w sztukę inżynierską, w całkowite usunięcie substancji szkodliwych ze spalin w spalarniach śmieci.



Jak wykazały obliczenia, wprowadzenie jednorazowych opakowań tworzywowych (polietylenowych) lub kartonowych zamiast zwrotnych butelek do mleka daje korzystne efekty ekonomiczne i ekologiczne: spalanie tych opakowań wprowadza do atmosfery wodę i dwutlenek węgla, natomiast mycie butelek powoduje zanieczyszczenie ścieków (i rzek) pokaznymi ilościami detergentów i reszek mleka, co jest dla środowiska przyrodniczego znacznie groźniejsze. To samo dotyczy innych opakowań – wykonane z tworzyw sztucznych przy spalaniu wysokotemperaturowym dają tylko wodę, dwutlenek węgla i ciepło, które może być wykorzystane do ogrzewania lub wytwarzania energii elektrycznej. Natomiast tak zachwalane opakowania papierowe rozkładają się wprawdzie po pewnym czasie, ale zanim to nastąpi zaśmiecają podwórza, rowy przydrożne i lasy. No i wymagają ścięcia wielu drzew...

Zieloni proponują także opakowania z tworzyw sztucznych, które rozkładałyby się pod wpływem światła i wody tak jak papier. Nawet wyprodukowano takie tworzywa (przez dodatek skrobi i innych substancji), ale wytworzona z takiego materiału butelka może się rozpaść nie tylko w rowie czy na biwaku leśnym, lecz także na półce w sklepie lub spiżarni. Lepiej nie kusić licha!

A więc **spalarnie**. Istnieje wiele typów pieców do spalania śmieci. Różnią się konstrukcją rusztów lub ich brakiem, sposobem rozdrabniania większych przedmiotów, sposobem utylizacji ciepła. Temperatura spalania wynosi 800-1200°C, co umożliwia spalanie bezwonne („*próg zapachu*” wynosi 750°C) i uzyskanie żużla w postaci stałej. Oczywiście objętość pozostałości po spalaniu wynosi zaledwie 10-15% objętości początkowej, dlatego składowisko może być mniejsze, poza tym nie grozi ono skażeniem gleby, wód, ani atmosfery.

Na nieco innej zasadzie pracuje instalacja w zakładach Volkswagen w Wolfsburgu. Spala się tam bezrusztowo wszystkie odpady produkcyjne i śmieci „jak leci”, włącznie ze starymi oponami, zanieczyszczonymi olejami, zdezelowanymi karoseriami samochodowymi. Temperatura spalania wynosi 1400°C, dopalania spalin aż 1700°C. Po przejściu przez odpowiednie płuczki w spalinach pozostają tylko para wodna i dwutlenek węgla, a płynny żużel granuluje się w kąpieli wodnej. Nadaje się on do wyrównywania terenu, do budowy dróg, a także na dodatek do betonu. Ciepło służy do produkcji energii elektrycznej i ogrzewania pomieszczeń.

Jeszcze jedno. *Zieloni*, organizujący protesty przeciw spalarniom, straszą emitowaniem przez nie najgorszych trucizn, *dioksyn*, szczególnie przy spalaniu PCW (polichlorku winylu). Badania amerykańskie i francuskie nie potwierdziły tego zarzutu – przy spalaniu wysokotemperaturowym PCW dioksyny się nie tworzą, powstaje H_2O , CO_2 i HCl . Owszem, znane jest około dwustu dioksyn, z których najbardziej

toksyjna jest czterochlorodioksyna. Jednak dioksyny powstają w procesach syntezy specjalnych związków, częścię przy spalaniu niskotemperaturowym, przy tleniu się wysypisk śmieci, przy spalaniu w piecach domowych, a także – **uwaga!** – przy paleniu papierosów – z niektórych garbników, barwników itp. Tu innych trucizn też nie brakuje...

Do spalarni śmieci można mieć pretensję, jak do spalania w ogóle, że powstający dwutlenek węgla przyczynia się do **efektu cieplarnianego**, ocieplania klimatu. Tego problemu jeszcze nie rozwiązano, ale marzy mi się kierowanie CO_2 do cieplarni oraz basenów z wodą, w której rozwijałyby się glony i wodorosty, produkujące (w procesie fotosyntezy z CO_2 przy naswietlaniu ultrafioletowym) białko dodawane do paszy dla zwierząt (zamiast „*wścieklej*” mączki paszowej). To **jest** możliwe!

Pora na podsumowanie.

Problemy związane z zanieczyszczeniami środowiska i usuwaniem odpadów nie są zjawiskiem nowym. Już Pliniusz (1 w.n.e.) uskarżał się na *zgnile powietrze* Rzymu, a król angielski Edward wydał w 1306 r. edykt przeciw *spalaniu węgla z morza* w paleniskach kuchennych. Nie ulega jednak wątpliwości, że prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero w naszych czasach.

Jeśli śmieci nie mają nas zasypać i zadusić, jeżeli rzeczywiście przejmujemy się ochroną środowiska, jeśli wybieramy profilaktykę zamiast późniejszego uciążliwego i kosztownego zwalczania różnych chorób i epidemii, musimy potraktować problem poważnie i zamiast deliberować i protestować, podjąć konkretne działania:

- przede wszystkim nie śmiecić; żadne *Dni sprzątania świata* nie pomogą, kiedy na co dzień będziemy rzucać śmieci gdzie popadnie: na ulicy, w lesie, w górach, na jeziorach. Miejsce śmieci jest w śmietniku!
- zaktywizować zbiórkę makulatury, złomu metali żelaznych i nieżelaznych oraz innych surowców wtórnych,
- organizować zbiórkę odpadów kuchennych i organicznych na kompost,
- popierać, a nie zwalczać, budowę spalarni odpadów przemysłowych, szpitalnych i komunalnych – przynajmniej po jednej w każdym powiecie,
- na wysypiska kierować tylko gruz, inne odpady balastowe i pozostałości po przetworzeniu śmieci w zakładach utylizacyjnych i spalarniach,
- nie powtarzać komunalów o tym, że *nas na to nie stać*, gdyż zaniechanie tych działań kosztuje o wiele więcej.

Wszystkie inne propozycje, mimo pozorów racjonalności, są tylko półśrodkami nie wartymi rozpatrywania.

To oczywiście, że całym sercem i duszą popieram budowę spalarni śmieci (z elektrownią) w gostyńskich Osinach, oraz wszelkich innych spalarni, postulując wykorzystanie doświadczeń żywieckich w zakresie selektywnej zbiórki śmieci.

Krzysztof GUTORSKI

Razem czy oddzielnie?

(felieton niegramatyczny)



Ikony na Wschodzie otoczone były (i są zapewne do dziś) wielką czią, szacunkiem. Tym, którzy je pisali, nie przychodziło zapewne do głowy, że ich arcydzieła mogą być przedmiotem handlu. Ich wartość nie da się bowiem przeliczyć na pieniądze – złotych, dolarów czy euro. Ikona ma uobecniać samego Boga.

Znaleźli się jednak tacy, którzy próbowali zamienić te dzieła na walutę – zwłaszcza twardą, pewną, dającą innego rodzaju poczucie bezpieczeństwa niż obcowanie z Wielką Tajemnicą. I – paradoksalnie – to właśnie dzięki nim w ten szczególny sposób z Wielką Tajemnicą możemy obcować właśnie my – w Śremie. Jeszcze do 15 marca 2001 r. Dlaczego? Otóż zbiór ikon w szamotulskim Muzeum (skąd przywieziono do naszego miasta czasową ekspozycję) pochodzi przede wszystkim z „odzysku” – odebrano je przemytnikom na granicy.

Wszystko powinno mieć swoje miejsce, wszystko powinno się znajdować tam,

gdzie trzeba. Chleb, książki, ołówki i długopisy, dziecięce zabawki, no i oczywiście pieniądze, a nawet przedmioty religijnego kultu. Gdyby – w przenośni – to wszystko ze sobą wymieszać – dopiero byłby bałagan!

Ale czy za wszelką cenę trzeba izolować od siebie te rzeczywistości?

Czy trzeba od razu reagować „świętym” oburzeniem na wiadomość o tym, że np. ksiądz posiada niezły samochód? Współczesnych razi bowiem łączenie, czy zestawianie, spraw świętych z ziemskimi – z pieniędzmi zwłaszcza.

Dziwnie symbolicznie do tego wszystkiego dopasowała się nasza śremska rzeczywistość. Ikony znalazły swoje miejsce w Muzeum Śremskim, przy ul. Mickiewicza. A tuż obok – w sąsiednim budynku – usadowiły się... pieniądze. W banku. Wszystko jest więc na swoim miejscu, blisko, choć oddzielnie. I niech tak już pozostanie...

Andrzej TOMASZEWSKI



Moje sadownicze Zakopane sprzed 50 lat

Każdy kraj ma swoje ulubione uzdrowiska, miejscowości turystyczne, o których marzy się, aby tam się udać, a potem wraca, kiedy tylko są możliwości. Takimi miejscowościami w Polsce były i są: Krynica, Wrochta – niestety już nie w naszych granicach no i Zakopane. Każdy zna nazwisko dr. Chałubińskiego, któremu zawdzięcza swe „odkrycie”, oraz ks. Stolarczyka, pierwszego proboszcza, który zmarł w 1893 r., po kilkudziesięcioletnim pasterzowaniu. To on starał się zmienić tych na pół dzikich harnaśców, zbójników, juhasów w cywilizowane społeczeństwo.

Zakopane i Tatrę stały się coraz bardziej modne. To tutaj zamieszkał Karol Szymanowski – nasz największy po Chopinie kompozytor, także bliski mi Karłowicz – muzyk i fotografik, szereg też pisarzy: tak lubiany Kornel Makuszyński, później Meissner, Witkiewicz – twórca stylu zakopiańskiego w budownictwie oraz autor cenionej książki „Na Przełęcz” oraz jego syn Witkacy – malarz i dramaturg. Blisko Zakopanego, bo na Harendzie osiadł nasz ziomek, bo z Wielkopolski, Kasprowicz. Na dłuższe pobyty przyjeżdżali: Żeromski, Sienkiewicz. Wiele dobrego zawdzięcza Zakopane hr. Zamoyskiemu, który wywalczył dla Polski najpiękniejsze części Tatr, tzn. okolice Morskiego Oka i przyczynił się do przeprowadzenia połączenia kolejowego z Chabówki do Zakopanego, co nastąpiło w 1899 r. Nasz ks. Wawrzyniak z Wyrzeki k/Śremu zbudował znów w Kuźnicach tzw. „Księżówkę”, w której nocował Ojciec Św. podczas swej ostatniej bytności.

Istnieją więc realne powiązanie naszej śremskiej ziemi z tym pięknym zakątkiem. Moi rodzice swą podróż poślubną w r. 1923 odbyli w Zakopanem. Mając 6 lat w 1932 r. pierwszy raz pojechałam tam z rodzicami i siostrą, 8-letnią Basią. W tym samym czasie byli też w Zakopanem pp. Muslewscy, oraz ks. dziekan Michalski i wspólnie chodziliśmy na wycieczki. Nie istniała jeszcze wtedy kolejka linowa na Kasprowy, więc wszędzie chodziło się pieszo. Tatrę mnie wtedy zauroczyły już na całe życie. Ledwie wojna się skończyła to w 1947 r. wraz z Baską, o której dalej piszę, ruszyliśmy w Pieniny, no i w Tatrę. Dlatego wykorzystaliśmy szansę pisania pracy magisterskiej, tam w cudownym, ukochanym Zakopanem.

Jednak spełniło się. Piszemy tę naszą wymarzoną pracę pt. „Sadownictwo Zakopanego i okolicy jako przyczynek do poznania ekologicznych właściwości klimatu górskiego”.

W latach 1931-1935 Bronisław Galczyński i Jan Ślaski założyli szereg sadów doświadczalnych na Podtatrzu. Były one położone o około 2000 metrów wyżej od sadów spotykanych w tamtych stronach.

W Polsce na Podhalu górną granicą sadów jest mniej więcej wysokość 700 m n.p.m.

Na seminarium sadowniczym prof. Ślaski w 1948 roku wspominał o tych swoich próbnym nasadzeniach, w kotlinie podtatrzańskiej, sprzed prawie 20 lat, mówiąc, że właściwie byłby to ciekawy temat pracy dyplomowej, stwierdzenie i opisanie wyników tego eksperymentu. Pracę tę jednak musiałyby podjąć dwie osoby. Spojrzaliśmy na siebie z Baską Maciejewską, też zakochaną w górach. To coś dla nas, no i momentalnie do Profesora, że bierzemy ten temat. I zaczęło się. Z Zakładu Sadownictwa dostałyśmy 1000 złotych stypendium. To już było coś. Dr Jerzy Młodziejowski, którego dobrze znałam, bo był prezesem Towarzystwa Tatrzańskiego w Poznaniu oraz Dyrektorem Objazdowej Orkiestry Symfonicznej w Poznaniu, zaofiarował się załatwić nam darmowy pokój w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, u dyrektora Juliusza Zborowskiego, zwanego popularnie wśród znajomych „Samuelem”. Zaczynało więc wszystko nabierać realnych kształtów.

Dziesiątego sierpnia 1949 jedziemy: Poznań – Mysłowice, gdzie od roku po opuszczeniu Śremu mieszkają rodzice. Stamtąd już prosto do Krakowa. Tam bieganie po regionalnych urzędach planowania i do Zakładu Gleboznawstwa do prof. Tokarskiego po dane glebowe.

No i Zakopane. Już z okna wagonu widzimy Tatrę, których podnóże chcemy otoczyć kwitnącymi sadami. Niestety pokoju w Muzeum Tatrzańskim u „Samuela” nie dostałyśmy. Chodzimy od domu do domu i szukamy lokum, ale ceny takie, że się włos na głowie jeży. Tak dotarliśmy do Władka Roja Gąsienicy i ten z miejsca znalazł nam siedzi-

bę u Walczaków, ostatni dom na Kościeliskiej. Bardzo więc dogodnie położenie, bo w następnym domu- Skibówki 2 mieszkał z siostrą Heleną Władek Roj. Profesor Śląski dał go nam za opiekuna, gdyż pomagał mu w latach trzydziestych zakładać te sady. Mialiśmy w nim wielką pomoc. Codziennie uzgadniałyśmy jaki sad będziemy opisywać i Roj polecał nas jako swoich znajomych. Pomógł nam też w zagospodarowaniu się w naszej „sadybie”. Składało się to nasze pomieszczenie z dużej izby i małego pokoiku, w którym spała Basia. W tej dużej, oprócz mego łóżka, stał piec na węgiel (kupiłyśmy zaraz centnar węgla do ogrzania i gotowania). Na ścianach rozwiesiłyśmy duże mapy Zakopanego i to była nasza pracownia. Umeblowania dopełniał stół, parę krzeseł, miska do mycia i parę wiader. Super skromne, ale to nam wystarczyło i byliśmy w siódmym niebie. Najważniejsze, że obok mieszka nasza podpora, Władek Roj Gąsienica – coś czterdziestoletni, zakochany w swym małym sadzie, przewodnik tatrzański, GOPR-owiec, pełen humoru, towarzyski, inteligentny, pyszny typ górala. Jego ojciec, Wojciech Roj towarzyszył doktorowi Chałubińskiemu w jego górskich wyprawach, a w okresie międzywojennym był posłem na Sejm RP.

Nasze sady znajdowały się na ulicy Kościeliskiej, na Skibówkach, na Równi Krupowej, na Gubałówce, Antałówce oraz w Białym Dunajcu, w Szaflarach i Maruszynie.

Władek Roj postarał się nam o tyczkę sześciometrową z nacięciami co pół i co jeden metr, co dało nam możliwość pomiarów: wysokości całkowitej drzewa i pnia pod koronę, rozpiętość korony, obwodu pnia na wysokości 20 centymetrów oraz długości przyrostów. Mierzyłyśmy to taśmą stalową. Do tego dochodziły też różne obserwacje, jak plonowanie drzew, zdrowotność, mrozoodporność, uprawa w sadzie itd.

I tak zaczęła się nasza praca. Objuczone plecakami, a w nich: młotek geologiczny, taśma stalowa, łopatka, torebki do próbek ziemi, aparat fotograficzny ze statywem, zeszyty do notatek, no i dodatkowy sweter, bo pogoda w górach bardzo zmienna. Zwykle wychodziłyśmy w teren w krótkich spodenkach, w bluzkach bawełnianych z krótkim rękawkiem, na ramieniu początek sześciometrowej tyczki, a kilka metrów za pierwszą magistrantką druga z

końcem tyczki też na ramieniu i z plecakiem, czapką studencką białą z niebieskimi otokiem i zielonym sznurkiem (bo rolnictwo) i roześmiane od ucha do ucha, pełne szczęścia. Jak się tu nie cieszyć jak temat pracy fantastyczny i to jeszcze w Tatrach. Naturalnie były przy tym różne przygody, jak na przykład z opisem sadu Pradziada (słynnego producenta nart) na Skibówkach. Mimo umówionej naszej wizyty furtka do ogrodu i dom na klucz zamknięte. Trzeba było przechodzić przez płot. Właśnie przekładałam nogę na jego drugą stronę, gdy przejeżdża góral wozem i krzyczy do mnie „Panienko, ale ładnie jest w Zakopanem”, „Oj, ładnie, ładnie” – mówię, zeskakując już z drugiej strony płotu na posesję Pradziada.

Razu jednego, maszerując tak przez centrum Zakopanego z tą tyczką na ramionach, zobaczyłyśmy wysiadającego z autobusu Ojca Siwka, jezuitę, naszego moderatora Sodalicji Marińskiej z Poznania. Zaraz fundnął nam lody i wziął adres, co zaowocowało wkrótce jego odwiedzinami w naszym domostwie, razem z jezuitą Ojcem Roztworowskim. Ten ostatni został później aresztowany przez bezpiekę pod zarzutem „prób wprowadzenia monarchii w Polskę”, co było naturalnie szykaną polityczną.

Niestety z pogodą było różnie, bardzo często padało, co uniemożliwiali nam peregrynacje po sadach. Wykorzystywałyśmy ten czas na wizyty u różnych osób, które mogły nam służyć w poszerzeniu wiadomości z zakresu naszych badań. I tak udało się do znanych, zasłużonych w badaniu flory tatrzańskiej, państwa Paryskich, na ulicy Chałubińskiego. Mam w swojej bibliotece ich cudny album „Zielony świat Tatr”, wydany w 1953 roku.

Udałyśmy się też do Doliny Strążyskiej, gdzie ze swymi asystentami przeprowadzał swe badania były rektor Uniwersytetu we Lwowie, a wtedy profesor Zakładu Gleboznawstwa U.J. w Krakowie, profesor Jan Tokarski. Zainteresował się naszą pracą i zaproponował poszerzenie jej oznaczeniami glebowymi, jego własną termiczną metodą.

W tym czasie (to znaczy około 1950 roku) Podtatrze, tak pod względem geologicznym, jak i glebowym nie było jeszcze wyczerpująco opracowane. Badania nad tektoniką Tatr przeprowadzali: prof. Tokarski, prof. Passendorfer, prof. Sokołowski oraz dr Gołąb. Tak więc udało się na ulicę Grunwaldzką, do willi „Ornak”, gdzie lożował prof. Soko-



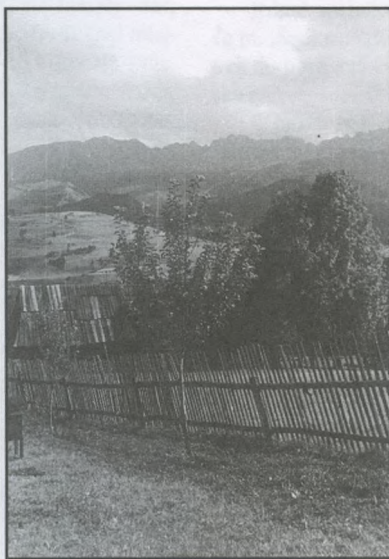
łowski. Przyjął nas bardzo uprzejmie. W pokoju jego panował miły turystyczny nieład, co nas obie do niego zaraz przychylnie nastawiło, bo bałagan to swojska rzecz. Basia usiadła na kanapie na Profesora kałesonach. Potem je wyciągał, mówiąc, że szuka teczek. Zaraz zaczęły w powietrzu latać skarpetki i różne części garderoby w mniej widocznych miejscach. Bardzo nam pomógł. Skierował nas do dr. Gołąba, który właśnie wydawał mapę geologiczną Tatr i do książeczki swego ojca, który był profesorem leśnictwa na UJ.

Niestety Zakopane ma od przeszło stu lat drugą nazwę „Zakapane”, bo w lecie ciągle leje. W takie dni trzeba było, zamiast latać po sadach, wykonywać inne prace. Dużo więc czasu spędzałyśmy w Stacji Meteorologicznej, aby spisywać dane meteorologiczne. Kierownikiem był tam wtedy p. Fedorowicz, zwany popularnie „Halnym Wiatrem” – przemili człowiek, pełen humoru, wigoru i wszystkich cnót towarzyskich. On to wywieszał w specjalnej gablocie prognozy pogodowe na każdy dzień. Brzmiały przeważnie: „Pochmurno, deszczowo, z przelotnymi rozjaśnieniami”. Opowiadał, że raz przyszedł do niego dwie panie, prosząc ze łzami, aby im załatwił dobrą pogodę, bo przyjechały tylko na kilka dni. Przeżyłyśmy tam też jedną, niemiłą dla naszego uroczego Fedorowicza przygodę. Bardzo lubił się bawić i tańczyć, a niedaleko, w pensjonacie „Czerwony dwór” miała być szampańska zabawa. Poprosił nas o pilnowanie stacji i załatwianie telefonów, a sam ruszył na te tany. Naturalnie, za chwilę telefon z lotniska w Nowym Targu o prognozy pogodowe, no i trzeba było podać: pułap chmur, prędkość wiatru itd. Dotąd włos mi się jeży na głowie, jaka to była odpowiedzialność dwóch smarkatych panienek, ale gorzej: dzwonek u drzwi i wchodzi trzech panów – kontrola z Krakowa. Deszcze się skończyły i można było znów ruszyć badać nasze sady. Najwyżej położonym sadem, bo 930 m n.p.m. był ogród Olgi Puszkina i Łęckiego, przy willi „Muszelka”, na południowo-zachodnim zboczu Antałówki. Pani Puszkina o śniadanej karnacji – na pewno Rosjanka z pochodzenia – bo serdeczna i gościnna, a jej herbatę z konfiturą z wiśni dotąd pamiętam. U niej to rosła morela obficie co roku owocująca – na tej wysokości.

I tak, dzień po dniu z wypchanym, ciężkim plecakiem, bo z próbkami ziemi, zmęczone wracałyśmy do naszego domu. Nie zawsze same. Moja mama przerażona entuzja-

stycznymi listami swojej córki, nie tylko na temat pracy, ale i zalet Włodka Roja, przysłała mojego brata Jaska na dwutygodniowy pobyt do nas.

Przez Władka Roja poznałyśmy największego w tych stronach poetę Nędzę Kubińca. Pokazał nam też nieszczęsną dla właściciela starą dziką gruszę, do której ciągnęli górale, bo była dobra po przepiciu. A pili tego. Przed naszym domem była ostatnia latarnia, więc jadąc wozem górale tam przystawali, aby jeszcze pociągnąć z butelki i śpiewali, śpiewali te specyficzne swe śpiewki. Teraz dopiero zrozumiałam cudowną muzykę z „Harnasiów” Szymanowskiego.



Wielką radość zrobił nam mój Ojciec, przyjeżdżając motocyklem do nas na trzy dni. Pojechaliśmy wtedy wszyscy kolejką na Kasprowy i stamtąd poszliśmy na Świnicę. To jedyny właściwie nasz wyczyn, bo naprawdę z Bašką zajmowałyśmy się naszą pracą, aby móc potem z Władkiem „machnąć się” jak było umówione na dwa dni w Tatry Zachodnie szczytami z Doliny Chochołowskiej aż do Kasprowego. Byłyśmy tak spracowane, a przy tym źle odżywione, że musiałam po jakimś czasie zrezygnować z раннего pójścia na mszę św. do Jezuitów „Na górce”. Byłam sama jedna na mszy św. w kościele i tam po prostu zesłałam, gdy podchodziłam do balasek do komunii św. kapłan to zauważył, odszedł od ołtarza, odprowadził mnie, posadził na krześle i powiedział, że mam spokojnie przyjść do

siebie, on poczeka z mszą św. i udzieli mi komunii św., a w ogóle zabrania, abym mając tyle zajęć przychodziła wcześniej rano do kościoła. Coś niesamowitego. Przeżycia więc były rozmaite. Także jedno ekstra. Zwabiły nas piękne, soczyste gruszki na straganie. Głodne jak zawsze zjadłyśmy parę z nich i popiłyśmy wodą z potoku. Po chwili przyszło opamiętanie. Pytam się mojej towarzyszk: – „Czy można pić wodę po gruszkach? – Absolutnie nie, to może spowodować śmierć.”

Śmierć? Na ulicy Kościeliskiej? Odzywam się – „To musimy lecieć do domu, bo umiera się zawsze w łóżku”. Puściliśmy się pędem do naszego domu położyliśmy się i czekałyśmy na śmierć. Po jakiejś pół godzinie wołam do Basi – „Żyjeś?” Ta odpowiada, że tak. „A Ty?” – pyta? Odpowiadam twierdząco. „Wiesz – mówię do Basi – to nie ma co dalej na śmierć czekać tylko weźmiemy się do naszej pracy.”

Nasz wspaniały opiekun Włodek Rój codziennie wieczorem przychodził, aby posłuchać naszego sprawozdania

i omówić prace na następny dzień. Raz te fachowe pogaduszki i opowiadania jak grał w powojennym filmie rolę przemysłowca w filmie „Czarny Żleb” skończyły się zabawą w ciuciubabkę i to do późnych godzin nocnych tzn. do piątej rano. Władek wtedy opuszczał nasz dom przez okno, aby sroga gaździna Walczakowa tego bezceństwa nie widziała. Z tego wynika, jaka życiowo mądra była moja matka, że przysłała do nas mego brata Jaska.

Po obejściu sadów w samym Zakopanem udaliśmy się do Białego Dunajca. Na probostwie u księdza Noska też było parę drzew owocowych. Baśka szła tam bardzo rozmarzona, bo zapewniała mnie, że ksiądz proboszcz na pewno poczęstuje nas pączkami, bo tak zawsze robił ich proboszcz w Gieczu, gdy przyjeżdżali w niedzielę na mszę św. z rodzinnego Chłapowa. Niestety inaczej traktuje się kolarów kościoła i dziedziców, a inaczej biedne studentki. Zupa rozlana akurat w jadalni wabiła swym smakowitym zapachem, ale nic z tego. Dowiedzieliśmy się, że furka w ogrodzie wyprowadzi nas na główną drogę i koniec. Będąc w tych okolicach trzeba też było zahaczyć o Harendę w Poroninie, związaną z Kasprowicem. Bliski mi jest jako Wielkopoleńczyk i przez swą cudną „Księgę Ubogich”. Jego żona, pani Marusia przyjęła nas bardzo serdecznie. Była to córka carskiego generała, pełna słowiańskiego ciepła. Zaprowadziła nas do ogrodu, gdzie poeta pochowany był w 1926 roku w mauzoleum.

Na wyprawie do Działoszyna dostałam lekcję dobrego wychowania po góralsku. Wyszłam z Władkiem o szóstej rano. Droga była śliczna, inna już panorama od Kominów Tylkowych na prawo z Doliną Chocholowską i okolicznymi szczytami. Na „Plazówce” znów bardzo ładny stary kościółek. W dole szumi Czarny Dunajec. Cudnie. Na tej wyprawie widziałam sad najwyższy położony w Polsce, to znaczy 970 m n.p.m. Mój towarzysz miał tam dobrą znajomą, nawet zanościło się na ożenek. Do tego nie doszło, ale sympatia pozostała. Dawna ex-miłość przyjęła nas ogromnie serdecznie. Nie wiedziała, jak ugościć. Na stół ciągle coś stawiała: chleb świeżutki i takie też masło i ser biały, wszystko własnej roboty, no i miód z własnej pasieki, a także się dobrze składało, że męża jej akurat nie było. Zachęcała nas do jedzenia mówiąc co chwilę: „Pojadajcie sobie”, no więc ja brałam skibkę za skibką, smarowałam tym pysznym masłem, miodem czy serem, aż mi się uszy trzęsły. Władek zaś siedział bardzo godnie, coś tam przegryzał i rozmawiał z naszą gospodynią. Wracając do domu, zwrócił się do mnie: „Ale ja się też wstydu przez panią najadłem”. Bardzo się zdziwiłam. „Tak pani dużo jadła”. „No, przecież tak ciągle namawiała, mówiąc: „Pojadajcie sobie”. „No, więc korzystałam z tego, a drogę mieliśmy daleką, to zgłodniałam”, tłumaczę. Na to Władek: „Widziałas Bogna jak ja się zachowywałem? Jak mówiła: „Pojadajcie sobie”, to raz chleba ugryzłem i znów rozmawiałem, aż do następnego „pojadajcie sobie”.

Mimo, że dostałam po nosie, wróciłam o piątej po południu bardzo zadowolona, bo oblecieliśmy kawał świata, aż pod Witów.

O pójściu do restauracji mowy nie było z powodów finansowych. Za chlebem stało się w ogonku i do dwóch godzin. Doszliśmy kiedyś za tym chlebem już blisko do lady sklepowej, gdy widzimy naszego profesora Konstantego Steckiego – botanika. Zaraz nas zauważył, podszedł i w ten sposób, prawie nie czekając, uzyskał upragniony bochenek chleba. Stecki co roku lato spędzał w Zakopanem. Pełne dumy oglądaliśmy w Muzeum Tatrzańskim ekspozycję z napisem: zebrał prof. Konstanty Stecki z uczniami. Był potem recenzentem naszej pracy dyplomowej i orzekł, że to była najciekawsza praca do roku 1952. Śmiałyśmy się później, że do tej przychylniej recenzji przyczynił się zdobyty w tak krótkim czasie chleb. Przyjechał też do Zakopanego prof. Ślaski, aby zobaczyć jak nam idzie, więc były wielkie rozmowy o naszych osiągnięciach i spostrzeżeniach. Ucieszył się, że rozszerzyliśmy temat o badania glebowe i poznał się z profesorem Tokarskim. Była z nim, ku naszej radości, jego córka Kryśka, a nasza koleżanka z roku. Te wszystkie mądre dyskusje zakończyły się jazdą na karuzeli w wesołym miasteczku, którą nam profesor zafundował.

Czekała nas jeszcze z Basią wyprawa do Szaflar i Maruszyny, a w tej ostatniej ciekawy dla nas sad Biedy-Młynarza. To ten sędziwy już starzec okazał się postacią bardzo interesującą. Po naszym przedstawieniu się, że jesteśmy studentkami z Poznania spytał: „A znacie Kórnik koło Poznania i hrabiego Zamoyskiego?”. Na nasze potwierdzenie, że Kórnik doskonałe, ale hrabiego Zamoyskiego nie, bo przecież już dawno w 1924 roku zmarł, powiedział nam historię, którą mało nawet kto zna. Otóż hrabia Zamoyski wziął grupę górali z Podhala i zafundował im pielgrzymkę do Rzymu. Opowiadając nam to wydarzenie płakał nasz rozmówca ze wzruszenia i lzy mu spadały na długą siwą brodę. Spytał się, czy też to prawda co im mówił ich dobroczyńca, że w Wielkopolsce drogi wysadzone są drzewami owocowymi. I tak powoli kończył się nasz obchód sadów na Podtatrzu, w którym niestety zabrakło wycieczek górskich, a tak o nich marzyliśmy.

Po powrocie do Poznania opracowałyśmy zebrane przez nas wyniki i nasuwające się wnioski.

Tak więc okazało się po przeszło dwudziestu latach od próbnych nasadzeń w latach trzydziestych, że dawna granica uprawy drzew owocowych do 700 m.n.p.m. może być z powodzeniem przesunięta do wysokości nawet przeszło 900 m.

Byłam szczęśliwa wraz z moją współpracowniczką Basią Maciejewską, że nasze badania w tych najpiękniejszych okolicach naszego kraju to udowodniły.

Bogna MIERZEJEWSKA-URAMOWA

Warto przypomnieć

Emancypantka przełomu wieków

Kto z nas nie pamięta urokliwej krytyki naszych codziennych obyczajów i zwyczajów. Śmiejemy się z niej, a w głębi duszy jesteśmy zawstydzeni. Wspaniale to ukazała w swojej twórczości Gabriela Zapolska z domu Korwin-Piotrowska.

Gabriela Zapolska urodziła się 30 marca 1857 w Podhajcach. Wydana nieszczęśliwie za mąż, zerwała w 1881 r. z mężem i rodziną.

Podejmuje pod pseudonimem

Józef Maskoff twórczość literacką. Debiutowała w 1881

roku na łamach *Gazety*

Krakowskiej, a od 1882 r.

(pod pseudonimem Ga-

briela Zapolska) rozpo-

częła karierę aktorską,

którą kontynuowała ze

zmiennym szczęściem w

Paryżu. Była tam zwią-

zana m.in. z awangardo-

wym naturalistycznym

Theatre Libre Andre Anto-

ine'a. Grała tam jedynie drob-

ne role w teatrzykach bulwaro-

wych, a od 1895 r. również w moder-

nistycznym Theatre de l'Oeuvre. Nawiąza-

ne w tym okresie kontakty z nowatorskimi kręgami

teatralnymi, z grupą malarzy tzw. nabistów, a także z

socjalistyczną polską emigracją, miały duże znacze-

nie dla jej rozwoju artystycznego i duchowego. Po

powrocie do kraju występowała nie bez pewnych suk-

cesów w teatrzykach ogródkowych w Warszawie, w

zespółach objazdowych, w teatrze krakowskim pod

dyrekcją T. Pawlikowskiego (1897-1898, 1898-1899).

Z powodu zatargów z dyrektorami teatrów musiała

zrezygnować ze sceny, która była pasją jej życia. W

latach 1900-1901 była felietonistką *Słowa Polskiego*

(m.in. cykl *Przez moje okno*) i recenzentką teatral-

ną. W 1902 r. prowadziła w Krakowie szkołę drama-

tyczną, która na początku 1903 roku dała

kilka przedstawień jako *Scena Nie-*

zależna.

Współpracowała również

z krakowską prasą pisząc

felietony w *Nowej Refor-*

mie i recenzje teatralne

w *Ilustracji Polskiej*.

Od 1904 r. mieszka-

ła we Lwowie, gdzie

zorganizowała wraz z

mężem, malarzem S.

Janowskim, wędrowny

zespół aktorski, który

jako Teatr Gabrieli Zapol-

skiej objeżdżał prowincję

galicyjską w 1907 i 1908 roku.

W latach 1912-1913 była kierow-

nikiem literackim *Teatru Premier*.

W latach 1908-1909 ogłaszała felietony w *Sło-*

wie Polskim, a następnie do 1913 roku w *Wieku No-*

wym.

Jej styl życia, a przede wszystkim bulwersująca

tematyka obyczajowa, zjadliwa krytyka mieszczań-

skiej moralności były przedmiotem ostrych pole-

mik i ataków ze strony konserwatywnej krytyki. Zdo-



była uznanie czytelników niektórymi powieściami (m.in. *Kaska Kariatyda, 1885-86*), ale przede wszystkim dramatami, utrzymanymi często w konwencji sentymentalnej lub patriotycznej (*Tamten 1889, Sybir, 1899*) i sekwencją satyrycznych komedii obyczajowych: *Żabusia (1897), Moralność pani Dulskiej (1906), Ich czworo (1907), Pana Maliczewska (1910 r.* Do najczęściej grywanych sztuk Gabrieli Zapolskiej należy komedia salonowa *Skiz (1909)*).

Gabriela Zapolska zaliczana jest do grona naturalistów. Głównym rysem jej twórczości jest idea emancypacji kobiet. Kreacje postaci kobiecych są tu najbardziej sugestywne i zarysowane w niezwykle emocjonalny sposób. Pasją Zapolskiej był teatr i aktorstwo, a pisarstwo traktowała jako źródło dodatkowych dochodów. Pisała dużo, zazwyczaj w pośpiechu i niedbale, co odbijało się niekorzystnie na jej powieściopisarstwie i nowelistyce. Natomiast doświadczenie aktorskie sprawiło, że bezbłędnie umiała wyczuć potrzeby sceny i jej dramaty prezentują dużo wyższy poziom, są dojrzalsze, odznaczają się zwięzłością i klarownością.

Kontrowersje wokół pisarstwa Gabrieli Zapolskiej oskarżanej o nadmierne epatowanie zbyt drastycznie ujmowaną problematyką obyczajową, w dużej mierze wynikały z demonstrowanej przez pisarkę i aktorkę postawy kobiety wyzwolonej. Drastyczność prowadzonej krytyki, jaskrawość argumentów, mających potwierdzać obłudę mieszczaństwa, przyczyniły się jednak do powodzenia jej utworów, które pozostały wzorem realistycznych komedii obyczajowych. Ta trafność obserwacji - nie zawsze równie wysokiej próby (wewnętrzne zróżnicowanie poziomu artystycznego utworów - nie jeden raz zdumiewało krytyków) - jedna jej publiczność, sprawiając, że najciekawsze komedie dramatopisarki pozostały na trwałe w repertuarze teatralnym mimo zazwyczaj niezbyt głębokiej diagnozy społecznej. *Moralność Pani Dulskiej* zajmuje w twórczości Gabrieli Zapolskiej miejsce szczególne - sztuka została zestawiana m.in. z osiągnięciami Moliера, czego społecznym dowodem stało się ugruntowanie terminu *dulszczyzna* dla określenia szczególnie odrażającej mieszczańskiej obłudy. Krytycy wprawdzie zauważyli, że pisarka nadużyła zohydżających argumentów,

aby wzmocnić swój atak, niemniej publiczność od kilkudziesięciu lat potwierdza popularność sceniczną autorki. Komedie powstawały pośpiesznie pod presją trudności finansowych, ale Zapolskiej udało się spożytkować swoje doświadczenia dramatopisarskie i aktorskie. Dzięki temu komedia ta przyniosła świetny materiał dla aktorów, a swoją precyzyjną budową zapewniła sceniczne napięcie i rytm.

Polegała na faktycznym postawieniu znaku równości między punktem wyjścia i zamknięcia komedii. Dulska, strzegąca na zewnątrz przyzwoitości, ale dopuszczająca do romansu swego syna Zbyszka ze służącą (bo lepiej, żeby nie lampartował po mieście), przerażona konsekwencjami dla reputacji jej rodziny, kiedy dziewczyna zachodzi w ciążę - przy pomocy sprytniej Juliasiewiczowej doprowadza dom do ładu. Hanka dostaje tysiąc guldenów odszkodowania i opuszcza dom Dulskich, zbuntowany Zbyszek po krótkim oporze ulega pokusie wygodnego życia i odstępuje od zamiaru poślubienia Hanki, tylko wrażliwa córka Dulskiej, Hesja, czuje, że stało się coś bardzo złego... „Moralność” triumfuje, świat, który na chwilę wypadł z formy, powraca do normalności. Dulska znowu pucować będzie wnętrza, zdzierać z lokatorów kamienicy i niepodzielnie strzec dobrego imienia rodziny. Zapolska kreśli sylwetkę Dulskiej wyraziście, dając postać megieri, podporządkowującej swojej woli otoczenie i wymuszającej posłuszeństwo. Jaskrawym tego dowodem jest irytujące milczenie jej męża, który przemyka się biernie po mieszkaniu, wygłaszając w całej komedii tylko jedną kwestię, ale po to, aby zdystansować się całkowicie od spraw trapiących domowników. To zresztą jeden z najciekawszych pomysłów komediowych Zapolskiej podobnie jak bardzo teatralny koncept, aby Dulski „wędrował” na kopiec Kościuszki, drepzcząc w kółko po pokoju.

Obok tematyki mieszczańskiej Zapolska próbowała swoich sił także w dramacie historycznym (*Sybir, 1900*) i społecznym (jednoaktówka *W Dąbrowie Górniczej, 1899*), a także napisała współczesną komedię *Skiz (1909)* podejmującą problem starzenia się.

Gabriela Zapolska zmarła 21 grudnia 1921 roku we Lwowie.

Adam Lewandowski

Warto przypomnieć

Emancypantka przełomu wieków

Kto z nas nie pamięta urokliwej krytyki naszych codziennych obyczajów i zwyczajów. Śmiejemy się z niej, a w głębi duszy jesteśmy zawstydzeni. Wspaniale to ukazała w swojej twórczości Gabriela Zapolska z domu Korwin-Piotrowska.

Gabriela Zapolska urodziła się 30 marca 1857 w Podhajcach. Wydana nieszczęśliwie za mąż, zerwała w 1881 r. z mężem i rodziną.

Podjeżdża pod pseudonimem

Józef Maskoff twórczość literacką. Debiutowała w 1881

roku na łamach *Gazety Krakowskiej*, a od 1882 r.

(pod pseudonimem Gabriela Zapolska) rozpoczęła karierę aktorską,

którą kontynuowała ze zmiennym szczęściem w

Paryżu. Była tam związana m.in. z awangardowym

naturalistycznym Theatre Libre Andre Antoine'a. Grała tam jedynie drobne

role w teatrzykach bulwarowych, a od 1895 r. również w modernistycznym

Theatre de l'Oeuvre. Nawiązane w tym okresie kontakty z nowatorskimi kregami

teatralnymi, z grupą malarzy tzw. nabistów, a także z socjalistyczną polską emigracją, miały duże znaczenie dla jej rozwoju artystycznego i duchowego. Po

powrocie do kraju występowała nie bez pewnych sukcesów w teatrzykach ogródkowych w Warszawie, w

zespółach objazdowych, w teatrze krakowskim pod

dyrekcją T. Pawlikowskiego (1897-1898, 1898-1899).

Z powodu zatargów z dyrektorami teatrów musiała zrezygnować ze sceny, która była pasją jej życia. W

latach 1900-1901 była felietonistką *Słowa Polskiego* (m.in. cykl *Przez moje okno*) i recenzentką teatralną. W 1902 r. prowadziła w Krakowie szkołę

dramatyczną, która na początku 1903 roku dała kilka przedstawień jako *Scena Niezależna*.

Współpracowała również z krakowską prasą pisząc felietony w *Nowej Reformie* i recenzje teatralne w *Ilustracji Polskiej*.

Od 1904 r. mieszkała we Lwowie, gdzie zorganizowała wraz z mężem, malarzem S.

Janowskim, wędrowną zespół aktorski, który jako Teatr Gabrieli Zapolskiej objeżdżał prowincję

galicyjską w 1907 i 1908 roku. W latach 1912-1913 była kierownikiem literackim *Teatru Premier*.

W latach 1908-1909 ogłaszała felietony w *Słowie Polskim*, a następnie do 1913 roku w *Wiekach Nowym*.

Jej styl życia, a przede wszystkim bulwersująca tematyka obyczajowa, zjadliwa krytyka mieszczańskiej moralności były przedmiotem ostrych polemik i ataków ze strony konserwatywnej krytyki. Zdo-

łała się ona dostrzec, że jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem

niezadowolenia z obyczajem i moralnością, a także z polityką państwa. Jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem

niezadowolenia z obyczajem i moralnością, a także z polityką państwa. Jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem

niezadowolenia z obyczajem i moralnością, a także z polityką państwa. Jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem

niezadowolenia z obyczajem i moralnością, a także z polityką państwa. Jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem

niezadowolenia z obyczajem i moralnością, a także z polityką państwa. Jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem

niezadowolenia z obyczajem i moralnością, a także z polityką państwa. Jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem

niezadowolenia z obyczajem i moralnością, a także z polityką państwa. Jej twórczość była nie tylko krytyką, ale przede wszystkim wyrażeniem



była uznanie czytelników niektórymi powieściami (m.in. *Kaska Kariatyda*, 1885-86), ale przede wszystkim dramatami, utrzymanymi często w konwencji sentymentalnej lub patriotycznej (*Tamten* 1889, *Sybir*, 1899) i sekwencją satyrycznych komedii obyczajowych: *Zabusia* (1897), *Moralność pani Dulskiej* (1906), *Ich czworo* (1907), *Panna Maliczewska* (1910 r. Do najczęściej grywanych sztuk Gabrieli Zapolskiej należy komedia salonowa *Skiz* (1909).

Gabriela Zapska zaliczana jest do grona naturalistów. Głównym rysem jej twórczości jest idea emancypacji kobiet. Kreacje postaci kobiecych są tu najbardziej sugestywne i zarysowane w niezwykle emocjonalny sposób. Pasją Zapolskiej był teatr i aktorstwo, a pisarstwo traktowała jako źródło dodatkowych dochodów. Pisała dużo, zazwyczaj w pośpiechu i niedbale, co odbijało się niekorzystnie na jej powieściopisarstwie i nowelistyce. Natomiast doświadczenie aktorskie sprawiło, że bezbłędnie umiała wyczuć potrzeby sceny i jej dramaty prezentują dużo wyższy poziom, są dojrzalsze, odznaczają się zwięzłością i klarownością.

Kontrowersje wokół pisarstwa Gabrieli Zapolskiej oskarżanej o nadmierne epatowanie zbyt drastycznie ujmowaną problematyką obyczajową, w dużej mierze wynikały z demonstrowanej przez piarkę i aktorkę postawy kobiety wyzwolonej. Drastyczność prowadzonej krytyki, jaskrawość argumentów, mających potwierdzać obłudę mieszczaństwa, przyczyniły się jednak do powodzenia jej utworów, które pozostały wzorem realistycznych komedii obyczajowych. Ta trafność obserwacji - nie zawsze równie wysokiej próby (wewnętrzne różnicowanie poziomu artystycznego utworów - nie jeden raz zdumiewało krytyków) - jednała jej publiczność, sprawiając, że najciekawsze komedie dramatopisarki pozostały na trwałe w repertuarze teatralnym mimo zazwyczaj niezbyt głębokiej diagnozy społecznej. *Moralność Pani Dulskiej* zajmuje w twórczości Gabrieli Zapolskiej miejsce szczególne - sztuka została zestawiana m.in. z osiągnięciami Moliera, czego społecznym dowodem stało się ugruntowanie terminu *dulsczyzna* dla określenia szczególnie odrażającej mieszczańskiej obłudy. Krytycy wprawdzie zauważyli, że piarka nadużyła zohydżających argumentów,

aby wzmocnić swój atak, niemniej publiczność od kilkudziesięciu lat potwierdza popularność sceniczną autorki. Komedie powstawały pośpiesznie pod presją trudności finansowych, ale Zapolskiej udało się spożytkować swoje doświadczenia dramatopisarskie i aktorskie. Dzięki temu komedia ta przyniosła świetny materiał dla aktorów, a swoją precyzyjną budową zapewniła sceniczne napięcie i rytm.

Polegała na faktycznym postawieniu znaku równości między punktem wyjścia i zamknięcia komedii. Dulski, strzegący na zewnątrz przyzwoitości, ale dopuszczający do romansu swego syna Zbyszka ze służącą (bo lepiej, żeby nie lampartował po mieście), przerażony konsekwencjami dla reputacji jej rodziny, kiedy dziewczyna zachodzi w ciążę - przy pomocy sprytniej Juliasiewiczowej doprowadza dom do ładu. Hanka dostaje tysiąc guldenów odszkodowania i opuszcza dom Dulskich, zbuntowany Zbyszek po krótkim oporze ulega pokusie wygodnego życia i odstępkuje od zamiaru poślubienia Hanka, tylko wrażliwa córka Dulskiej, Hesja, czuje, że stało się coś bardzo złego... „Moralność” triumfuje, świat, który na chwilę wypadł z formy, powraca do normalności. Dulski znowu pucować będzie wnętrza, zdzierać z lokatorów kamienicy i niepodzielnie strzec dobrego imienia rodziny. Zapska kreśli sylwetkę Dulskiej wyraziście, dając postaci megierę, podporządkowującej swojej woli otoczenie i wymuszającej posłuszeństwo. Jaskrawym tego dowodem jest irytujące milczenie jej męża, który przemyka się biernie po mieszkaniu, wygłaszając w całej komedii tylko jedną kwestię, ale po to, aby zdystansować się całkowicie od spraw trapiących domowników. To zresztą jeden z najciekawszych pomysłów komediowych Zapolskiej podobnie jak bardzo teatralny concept, aby Dulski „wędrował” na kopiec Kościuszki, drepcząc w kółko po pokoju.

Obok tematyki mieszczańskiej Zapska próbowała swoich sił także w dramacie historycznym (*Sybir*, 1900) i społecznym (jednoaktówka *W Dąbrowie Górniczej*, 1899), a także napisała współczesną komedię *Skiz* (1909) podejmującą problem starzenia się.

Gabriela Zapska zmarła 21 grudnia 1921 roku we Lwowie.

Adam Lewandowski

KIM JESTEM? CZ. VII

MOJE SIEDEMDZIESIĘCIOLETNIE ŻYCIE ROZWIJA SIĘ JAK W ZWOLNIONYM FILMIE, POKAZUJĄC MŁODE LATA PODCZAS OKUPACJI NIEMIECKIEJ W KRAKOWIE – WSPOMNIENIA Z ROKU 1943/45.

Z PERSPEKTYWY SZPITALNEGO ŁÓŻKA INACZEJ WIDZI SIĘ OTACZAJĄCE ŚRODOWISKO. WSPOMINAJĄC OKRES MOJEJ REHABILITACJI PO PRZEBYTEJ OPERACJI, PRAGNĘ PODZIĘKOWAĆ TYM, KTÓRZY WSPIERALI MNIE W WYSIŁKACH PODEJMOWANYCH DLA OSIĄGNIĘCIA DOBREJ KONDYCJI FIZYCZNEJ I PSYCHICZNEJ.

DOPIERO TERAZ, PO SKOŃCZENIU SIEDEMDZIESIĘCIU LAT DOCENIAM TEN NATURALNY TRYB ŻYCIA W OTWARTEJ PRZESTRZENI DZIAŁKI REKREACYJNEJ, W CHACIE POSTAWIONEJ WŁASNORĘCZNIE NA SKRAJU PUSZCZY ZIELONKI. MAJĄC WIĘCEJ CZASU NA REFLEKSJE DOSTRZEGAM, ŻE JESTEŚMY CZĘŚCIĄ PRZYRODY, A ARCHITEKTURA TŁEM, W KTÓRYM CZŁOWIEK ŻYJE I PRACUJE: W MOIM PRZYPADKU MALUJĄC OBRAZY, PISZĄC KSIĄŻKI, MAJSTERKUJĄC.

Wreszcie popołudniowe wypadły do wartowni w oczekiwaniu na Junkersa przyniosły rezultat. Któryś z nas przyniósł wiadomość, że są Junkersy i to trzy w miejscu, do którego mieliśmy zamiar się dostać. Nie pamiętam jaki to był dzień tygodnia, ale udało się nam zebrać przed godziną policyjną na wartowni. Na płycie stały dalej trzy Junkersy, ale do wieczora było jeszcze daleko. Wreszcie zapadła noc.

Ruszyliśmy wzdłuż ogrodzenia po jego zewnętrznej stronie. Mimo jasnej księżycowej nocy szliśmy wolno. Droga przez jakieś wysypiska i pagórki wcale nie była łatwa. Po dość długim czasie stanęliśmy w miejscu najbliższym od płotu do samolotów. W siatce ogrodzenia była duża dziura, z łatwością ją znaleźliśmy. Po kilkunastominutowym wsluchiowaniu i wpatrywaniu się w teren przed nami poczęliśmy się skradać w kierunku samolotów. Po kilkadziesiąt metrów trafiliśmy na jasno połyskującą drogę. Trzeba było przejść na drugą stronę, bo tam stały samoloty. Wsluchani w ciszę nocną obserwowaliśmy teren i czekaliśmy, aż zajdzie księżyc. Według kalendarza miało to być po godzinie pierwszej. Zanim zaszedł księżyc usłyszeliśmy odgłos kroków na drodze. Był powolny i miarowy. To się oddalał to zbliżał. Czasem był wyraźny i twardy, czasem skrzypiący żwirem lub cichł, by odezwać się w zupełnie innym miejscu. Przynęśliśmy się do siebie, by się narażać, co dalej począć. Postanowiliśmy czekać, aż księżyc przestanie świecić, wtedy się wycofamy. Wreszcie księżyc zaszedł za wzgórzem z naszą wartownią i nastała głęboka ciemność. Nowa narada i nowa decyzja: „musimy podejść do samolotów”. Te odgłosy kroków to krążenie wartowni-

ka po drodze wzdłuż samolotów. Od nastania ciemności po zająciu księżyca wartownik przestał krążyć i bardziej domyślaliśmy się niż wiedzieliśmy na pewno, że zatrzymał się przy maszynie stojącej najbliżej od ogrodzenia. Poczołgaliśmy się jeszcze kilkadziesiąt metrów wzdłuż drogi, odpoczęliśmy i pojedynczo na czworakach przeczołgaliśmy się na drugą jej stronę. Wydawało mi się, że nasze czołganie jest bardzo głośnie, ale już cofać się nie było sensu. Wartownik mógł nas przecież teraz usłyszeć, bo na pewno pełna ciemność wyostreza czujność na szmery. Od drogi do najbliższego Ju 88, który był trzecim i ostatnim od naszego wartownika było tylko kilkanaście metrów. Poczołgaliśmy się w pachnącej trawie czując pod dłońmi ciepłą ziemię. Wreszcie byliśmy w cieniu podwozia – dwóch kłęczących przy prawym, a pozostałych dwóch przy lewym kole. Andrzej Mrozowski wysunął się w kierunku kadłuba, aby spróbować otworzyć właz do wnętrza. Wtedy usłyszeliśmy chrząkanie. Strażnik był pod środkowym samolotem. Taka sytuacja była już za trudna do kontynuowania naszego zamiaru – wejścia do samolotu. Postanowiliśmy się wycofać, odczołgaliśmy się na poprzednie miejsce, by się narażać co robić dalej. Wybór drogi był oczywisty, nie wolno dalej igrać ze szczęściem – wracamy na przelaj przez murawę łądowiska, podobnie jak niedawno jechał niemiecki samochód. Ruszyliśmy powoli, gęsiego, na kolanach podpierając się łokciami.

Przebrnęliśmy kilkadziesiąt metrów i mieliśmy się już podnieść, by dalej iść wyprostowani, gdy nagle rozbłysnął straszliwie silny strumień światła. Był to z pewnością wiel-



Uchwała Nr SO-16/1/P/2001/Ln

**Składu Orzekającego Regionalnej Izby Obrachunkowej w Poznaniu
z dnia 22 stycznia 2001 r.**

w sprawie: wyrażenia opinii o prognozie kształtowania się długu publicznego Miasta i Gminy Śrem

Działając na podstawie art. 13 pkt 2 ustawy z dnia 7 października 1992 r. o regionalnych izbach obrachunkowych (Dz. U. Nr 85, poz. 428 ze zmianami) w związku z art. 115 ustawy z dnia 26 listopada 1998 r. o finansach publicznych (Dz. U. Nr 155, poz. 1014 ze zmianami) Skład Orzekający wyznaczony Zarządzeniem Nr 10/2000 Prezesa Regionalnej Izby Obrachunkowej w Poznaniu z dnia 8 listopada 2000 r. w osobach:

Przewodnicząca: Beata Rodewald-Easzkowska

Członkowie: Zdzisław Drost

Mieczysław Klupczyński

po dokonaniu analizy budżetu Gminy Śrem na 2001 rok przedłożonego Izbie w dniu 3 stycznia 2001 r. oraz prognozy kwoty na lata 2001 – 2007 wyraża **opinię pozytywną o prognozie kształtowania się długu Miasta i Gminy Śrem na 2001 r.**

UZASADNIENIE

W budżecie Gminy Śrem na 2001 rok uchwalonym w dniu 15.12.2000 r. Uchwałą Nr 226/XXIX/2000 Rada Miejska w Śremie zaplanowała dochody w wysokości 43.432.965 zł oraz wydatki w wysokości 45.280.238 zł.

Przychody budżetu wynoszą 3.888.473 a rozchody budżetu wynoszą 2.041.200 i zostały ujęte w załączniku Nr 3 do uchwały budżetowej.

Oceniając przedłożoną prognozę kwoty długu Gminy Śrem na lata 2001-2007 Skład Orzekający ustalił, że na dzień 01.01.2001 r. gmina ma zaciągnięte zobowiązania z tytułu kredytów i pożyczek

oraz obligacji w wysokości 13.721.000 zł co stanowi 31,59% (górny pułap wysokości długu 60% - art. 114 ustawy o finansach publicznych) planowanych dochodów budżetu Gminy Śrem na 2001 r.

W budżecie gminy na 2001 r. zaplanowano przychody z tytułu:

- kredytów i pożyczek w wysokości - 2.888.473 zł
- obligacji komunalnych w wysokości - 1.000.000 zł.

W budżecie przewidziano także środki (rozchody) na spłatę zaciągniętych kredytów i pożyczek w wysokości 2.041.200 zł. Przewidywane wydatki z tytułu spłaty odsetek od kredytów, pożyczek i obligacji wynoszą 1.423.030 zł. Zaplanowano także rezerwę celową na zabezpieczenie udzielonych poręczeń w wysokości 95.000 zł.

Zobowiązania gminy z tego tytułu w 2001 r. stanowią 8,19% (górny pułap kwoty spłaty rat kredytów i pożyczek wynosi 15% - art. 113 ust. 1 ustawy o finansach publicznych) planowanych dochodów budżetu na 2001 r.

Prognozowana kwota długu na dzień 31.12.2001 r. wyniesie 15.568.273 zł co stanowić będzie 35,84% planowanych dochodów na 2001 r.

Biorąc pod uwagę opracowaną przez Gminę prognozę dochodów budżetu na lata 2001-2007 Skład Orzekający ustalił, że zobowiązania Gminy w poszczególnych latach kształtować się będą następująco:

2001 r. - 4,92%	2002 r. - 9,10%	2003 r. - 5,24%	2004 r. - 5,52%	2005 r. -
4,02%				
2006 r. - 1,90%	2007 r. - 2,75%			

Skład Orzekający stwierdza, że łączna kwota przypadających do spłaty w 2001 roku rat z tytułu zaciągniętych kredytów, pożyczek i wyemitowanych obligacji wraz z należnymi odsetkami, a także udzielonych poręczeń nie powinna przekroczyć 15% planowanych na ten rok budżetowy dochodów gminy a wysokość długu publicznego nie przekroczy 60% planowanych dochodów gminy.

Biorąc powyższe pod uwagę Skład Orzekający orzekł jak w sentencji.

Uchwała niniejsza podlega opublikowaniu w trybie przewidzianym dla publikacji uchwały budżetowej.

*Przewodnicząca
Składu Orzekającego
Beata Rodewald-Łaszkowska*

Pouczenie: Od niniejszej uchwały Składu Orzekającego służy odwołanie do Kolegium Izby w terminie 14 dni od daty jej doręczenia.

Uchwała Nr SO-16/1/D/2001/Ln

**Składu Orzekającego Regionalnej Izby Obrachunkowej w Poznaniu
z dnia 22 stycznia 2001 r.**

w sprawie: wyrażenia opinii o możliwości sfinansowania deficytu budżetowego Miasta i Gminy Śrem

Działając na podstawie art. 13 pkt 2 ustawy z dnia 7 października 1992 r. o regionalnych izbach obrachunkowych (Dz. U. Nr 85, poz. 428 ze zmianami) w związku z art. 115 ustawy z dnia 26 listopada 1998 r. o finansach publicznych (Dz. U. Nr 155, poz. 1014 ze zmianami) Skład Orzekający wyznaczony Zarządzeniem Nr 10/2000 Prezesa Regionalnej Izby Obrachunkowej w Poznaniu z dnia 8 listopada 2000 r. w osobach:

Przewodnicząca: Beata Rodewald-Łaszkowska

Członkowie: Zdzisław Drost

Mieczysław Klupczyński

po dokonaniu analizy budżetu Gminy Śrem na 2001 rok ustalonego w dniu 15 grudnia 2000 r. Uchwałą Nr 336/XXIX/2000 wyraża

opinię pozytywną

*o możliwości sfinansowania przez **Miasto i Gminę Śrem** deficytu budżetowego w 2001 r.*

UZASADNIENIE

Analizując możliwość sfinansowania deficytu budżetu w 2001 r. Skład Orzekający ustalił, co następuje:

W budżecie Gminy Śrem na 2001 rok uchwalonym w dniu 15 grudnia 2000 r. Uchwałą Nr 336/XXIX/2000 Rada Miejska w Śremie zaplanowała dochody w wysokości 43.432.965 zł oraz wydatki w wysokości 45.280.238 zł.

Wykazano deficyt budżetowy zgodnie z art. 112 ustawy o finansach publicznych w wysokości 1.847.273 zł. Jako źródło sfinansowania deficytu wskazano, w § 1 ust. 3 uchwały oraz w załączniku nr 3 do uchwały, przychody ze sprzedaży obligacji oraz z tytułu zaciągniętych pożyczek i kredytów. Zaplanowano przychody w wysokości pozwalającej na sfinansowanie powstałego deficytu budżetowego.

W wyniku analizy informacji dotyczącej przewidywanych obciążeń budżetu Gminy Śrem z tytułu zaciągniętych pożyczek i kredytów oraz emisji obligacji komunalnych Skład Orzekający uznał, że uzyskanie przez Gminę wskazanych w budżecie przychodów jest realne.

Biorąc powyższe pod uwagę Skład Orzekający orzekł jak w sentencji.

Przewodnicząca

Składu Orzekającego

Beata Rodewald-Łaszkowska

Pouczenie: Od niniejszej uchwały Składu Orzekającego służy odwołanie do Kolegium Izby w terminie 14 dni od daty jej doręczenia.



INFORMACJA

O NABORZE NA 3 LETNIE DZIENNE, BEZPŁATNE STUDIA LICENCJACKIE NA UNIWERSYTECIE IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU Z REALIZACJĄ ZAJĘĆ DYDAKTYCZNYCH W ŚREMIE W ZAKRESIE:

- **CHEMII – SPECJALNOŚĆ CHEMIA MATERIAŁOWA** – WYDZIAŁ CHEMII UAM POZNAŃ – egzamin w formie rozmowy kwalifikacyjnej,

- **REKREACJI I TURYSTYKI** – WYDZIAŁ GEOGRAFII I GEOLOGII UAM POZNAŃ – egzamin testowy z geografii oraz rozmowa kwalifikacyjna.

Po ukończeniu studiów licencjackich istnieje możliwość kontynuacji studiów magisterskich.

Wszelkich informacji udziela:

- prof. dr hab. Jerzy Langer tel. 2833511,
- Adam Lewandowski tel. 2835225 w. 143,
- Dział Nauczania UAM w Poznaniu, ul. Wieniawskiego 1 tel. 8294376 – informacja na temat naboru,

- Dziekanat Wydziału Chemii – tel. 8291391 – informacja na temat naboru,

- Dziekanat Wydziału Geografii i Geologii – tel. 8294563 – informacja na temat naboru.

Jednocześnie informujemy, że na temat programów nauczania oraz wymagań egzaminacyjnych można również uzyskać informacje podczas zorganizowanych:

DRZWI OTWARTYCH na Wydziale Chemii UAM w Poznaniu, które odbędą 10 marca 2001 roku o godz. 12.00 w auli *Collegium Chemicum* w Poznaniu ul. Grunwaldzka 6;

DRZWI OTWARTYCH na Wydziale Geografii i Geologii UAM w Poznaniu, które odbędą się 10 marca 2001 roku o godz. 10.00 w Poznaniu *Collegium Maius* sala Śniadeckich, ul. Fredry 10.

Zarząd Miejski w Śremie

Uchwała Nr 80-16/C/D/2001/Ln

Sala Ordynarska Regionalny Urząd Ochrony Prawa Własności Intelektualnej

z dnia 22 stycznia 2001 r.

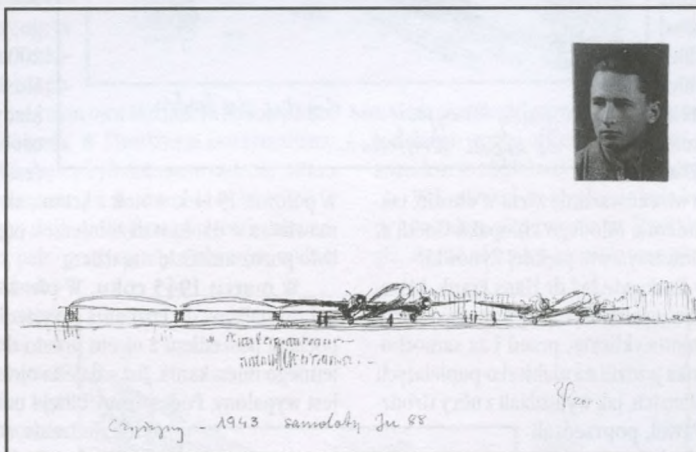
w sprawie wyrażenia zgody na możliwość publikacji w Dzienniku Urzędowym Miasta Śremie

ki reflektor przeciwlotniczy. Strumień światła omiatał płytę lotniska z miejsca oddalonego, położonego gdzieś przy przeciwnym krańcu całego terenu. Po kilku minutach ochłonęliśmy z emocji, dochodząc do wniosku, że nas nie zauważono. Smuga światła przesuwiała się rytmicznie od wzgórza na linii wartowni aż po samoloty stojące wzdłuż drogi, od której przyszliśmy. Światło ślizgało się po powierzchni trawy tworząc smugi cienia napotykając po drodze na wyższe kępy traw. Trzeba się było ruszyć. Czas nieubłagane biegł naprzód i do świtu nie było już daleko. Trzeba się było czołgać dalej. Wybraliśmy drogę do wzgórza. Rytm omiatania płyty lotniska był bardzo powolny, dało to nam szansę, że po minięciu światła podrywaliśmy się, aby przebiec kilkanaście metrów i w porę paść na trawę zanim powrotne światło dobiegło do miejsca, gdzie leżeliśmy. W miarę upływu drogi skoki wydłużały się i zbawienne zbrocze było coraz bliższe. Wreszcie znaleźliśmy się w cieniu zbrocza i tam już bez obaw, że będziemy zauważeni, dużo spokojniejsi, wzdłuż ściany strzelnicy doszliśmy do znajomego zbrocza. Do wartowni doszliśmy przy jaśniejącym niebie. Byliśmy w opłakanym stanie. Wszystko na nas było mokre, w wielkim napięciu tych nocnych godzin nie czuliśmy zimna rosy, która bardzo wcześniej opadła ani pokrwawionych rąk od ostów, o które się co chwilę ocieraliśmy. Te osty były jednak naszym zbawieniem, one pomogły w chowaniu się przed przenikliwym światłem reflektora.

Do późnego popołudnia suszyliśmy na krzakach ubrania i bieliznę i tworzyliśmy obraz, dla przypadkowego obserwatora, sielankowy – grupa chłopców na późno-majowej wycieczce połączonej z opalaniem się. Komiczność tej sytuacji zakłócała świadomość, że jesteśmy na terenie wojskowym i że czeka nas powrót drogą upstrzoną wartowniami, a wygląd nasz mimo całonocnego suszenia ubrań był opłakany; na kolanach dziury lub zazielenienia aż do brunatności, podrapane twarze i ręce, no i ciepłe płaszcze, które nie pasowały do letniego dnia. Wreszcie zebraliśmy się na odwagę i pojedynczo w odstępach takich, aby się widzieć ruszyliśmy do miasta. Wydawało mi się, że wszy-

scy mijani na drodze widzą wyraźnie, co robiliśmy w nocy i skąd wracamy. Mimo wielkiego strachu szczęśliwie dotarliśmy do miasta i przed godziną policyjną znaleźliśmy się w swoich domach.

Podczas zimy 1942 roku chodziliśmy z naszego mieszkania do śródmieścia przez Krzemionki koło Kopca Krakusa. Zauważyliśmy, że po drodze na kopiec wożona jest woda w beczkowie, ciągniętą przez jeńców rosyjskich. Po kilku tygodniach obserwacji było oczywiste, że spotkanie z tym beczkowozem odbywa się regularnie. Ojciec wymyślił, że możemy zabrać do domu papierosy o nazwie Hauden, które były strasznie mocne, zabraliśmy paczkę w której było 100 sztuk papierosów i w momencie gdy mijaliśmy beczkowóz ojciec zwrócił się do pilnujących Niemców z zapytaniem – czy możemy podać jeńcom papierosy? Za wyrażoną zgodą Niemców, popartą poleceniem do jednego z jeńców, aby się do nas zbliżył, podałem mu tę paczkę papierosów.



Niedzielne chodzenie do kościoła odbywało się albo do miejscowego kościoła w Woli Duchackiej, albo do śródmieścia Krakowa do kościoła św. Anny, który był ulubioną świątynią mojego ojca. Atmosfera tych mszy była podniosła i patriotyczna, podobna do współczesnych spotkań z Papie-

żem. Po mszy niedzielnej szliśmy do stryja Stefana (architekta) na śniadanie, które było dla nas wielkim świętem, bo był chleb z masłem i biała kawa.

W czasie odwrotu Niemców w sierpniu 1944 roku widziałem scenę w pobliżu wjazdu do obozu płaszowskiego. Motocyklem z przyczepką jechało trzech wojskowych wermachtu, którzy zostali zatrzymani przez żandarmerię wojskową, z daleka widać było że wywiązała się awantura, a wynik dla motocyklistów był bardzo niedobry, bo widziałem jak jeden z nich dostał po twarzy od żandarma i kazano całej trójce zatrzymać się na poboczu. Co było dalej już nie widziałem, bo trudno było gapić się na taką scenę.

Na ulicy Poniatowskiego w kierunku obozu mieszkał dentysta, poszedłem do niego, ale nie zdążyłem dojść do furtki jego domu, gdy z przeciwka od strony obozu nadje-

chała kawalkada jeźdźców na pięknych koniach, z jeszcze piękniejszymi rzędami końskimi. Był to sam komendant obozu Amon Goeth, z kochanką – ponoć Hiszpanką, bardzo ciemną brunetką o śnieżnobiałej karnacji skóry; do towarzystwa należał jeszcze młody mężczyzna – ponoć skrzypek oraz jeszcze dwóch młodych Niemców, wszyscy ubrani jak na angielskich obrazach z polowań. Wśród tych koni uwiły się dwa dogi angielskie, oba podbiegły do mnie, a ja dosłownie wcisnąłem się między sztachety ogrodzenia, aby nie zawadzać jadącemu szeroko całą ulicą oddziałowi. Na szczęście ktoś z grupy jeźdźców zagwizdał i psy odskoczyły ode mnie. Tak wyglądały odwiedziny komendanta obozu piaszowskiego u komendanta Baudienstu usytuowanego w pobliżu obozu żydowskiego, w połowie ulicy Piłsudskiego. Droga z obozu do niemieckiej komendy Baudienstu prowadziła koło naszego domu, mieszka-

jąc tam mogłem obserwować warunki życia w obozie, także zachowanie komendanta, młodego chłopaka Goeth'a, który zabawiał się w towarzystwie pięknej Żydówki.

Gubernatorem w Krakowie był dr Hans Frank, którego widziałem wjeżdżającego limuzyną na Wawel z eskortą sześciu uzbrojonych motocyklistów, przed i za samochodem. Motocykliści Franka jeździli na niebiesko-popielatych Triumph-ach, widywałem ich, jak wyjeżdżali z ulicy Grodzkiej i wjeżdżali na Wawel, poprzedzali duży samochód – chyba był to Horch, w którym siedział Frank. Niemców widywałem sporadycznie, najczęściej było młodych oficerów spacerujących po A-B. Widywałem też Niemca o imieniu Johan, który chodził po cywilnemu i był z załogi obozu piaszowskiego. Widziałem go kilka godzin przed wejściem Rosjan 19 stycznia 1945 roku, przybiegł pod nasz dom i wywołał gospodarza, radził się gdzie się ukryć. Widziałem przez okno, że wyjmował z wewnętrznej kieszeni pistolet typu Parabellum, potem chował i znów wyjmował, ale co się w końcu stało nie wiem, prawdopodobnie dołączył do oddziału obsługi dział przeciwlotniczego, który wycofał się koło południa w kie-

runku szosy wielickiej, podobno został rozbity na samym skrzyżowaniu z ulicą Piłsudskiego. Widziałem z okna, jak około południa, oddział Niemców wycofujących się z Krakowa szedł w „szyku” na nartach w białych kombinezonach, ale równocześnie w kierunku Wieliczki szli również Rosjanie.

W pierwszą niedzielę po wejściu Rosjan do Krakowa poszliśmy jak zwykle do śródmieścia. Ponieważ wszystkie mosty były wysadzone przez Niemców (kałmuków z SS) w

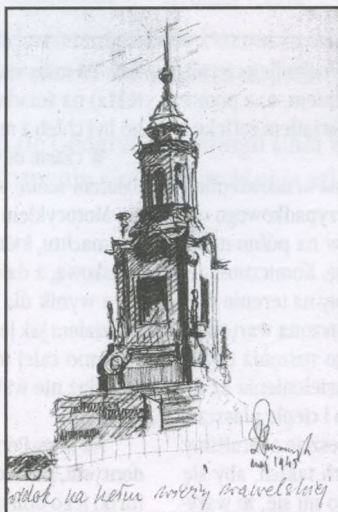
czasie opuszczania miasta, na drugi brzeg można było przejść po zamrzniętej Wiśle, przy trzecim moście. Okazało się, że nad rzeką czekali na przechodniów jacyś Rosjanie, którzy zabrali nas do pomocy przy odbudowie mostu kolejowego, oddalonego około 200 metrów w dół rzeki. Musieliśmy nosić podkłady kolejowe w kilka osób. Ojciec był już wówczas bardzo chory, miał

w połowie 1944 krwotok z krtni, ale nie było z kim rozmawiać, a w około stali żołnierze z pepesami. Nie można było porozumieć się z tą dżiczą.

W marcu 1945 roku. W pierwszych dniach marca przyjechaliśmy do Poznania z wysiedlenia w Krakowie. Z pociągu poszedłem z ojcem prosto do naszego przedwojennego mieszkania. Już z daleka ojciec zauważył, że dom jest wypalony. Podeszliśmy bliżej i nasze wątpliwości, czy to nie złudzenie, rozwiąły się bez reszty, kilka domów było doszczętnie strawionych przez pożar. Nasz dom był pierwszym z kilku, które się spaliły. To nieszczęście przybiło ojca strasznie. Właściwie cała ulica marszałka Focha (obecna Głogowska) była nienaruszona, tylko tych kilka domów między ulicami Spokojną i Strusia było zniszczonych przez podpalenie. Popatrzyliśmy na wypalone mury i bardzo przybici poszliśmy szukać noclegu. Mieliśmy adres znajomego ojca i tam skierowaliśmy nasze kroki; mieszkał przy ulicy Małeckiego. Zastaliśmy go w domu. Przyjął nas bardzo serdecznie i ugościł, mimo że żył bardzo biednie. Miał ojca staruszka, który był przed wojną poli-



*Lejacy Rosjanie na drodze do Fortu
na kręciu Krakowa*



Widok na kościół Wawelski

cjantem i został zmasakrowany w czasie demonstracji bezrobotnych w dobie kryzysu. Długo w nocy rozmawiał ojciec z naszymi gospodarzami. Chciał się dowiedzieć, co się właściwie stało z naszym domem. Otóż domy podpalili wycofujący się Niemcy. Rosjanie wchodząc do miasta nie dali czasu Niemcom na systematyczne niszczenie dzielnic południowych. Dopiero w śródmieściu walki były zażarte, tam niewiele zabudowy ocalało. Tym większym było nie-szczęściem, że nasz dom wśród niewielu był zniszczony. Na drugi dzień poszliśmy szukać innych znajomych, tak trafiliśmy do państwa Stabińskich. Ojciec został zaproszony przez nich do zatrzymania się na dłużej.

Po kilku dniach i wizycie w organizującym się kuratorium wybraliśmy się w podróż powrotną do Krakowa. Wracaliśmy wraz ze spotkanym w Poznaniu kuzynem ojca Marianem Mikołajskim, przez Piotrków do Krakowa. W Piotrkowie zatrzymaliśmy się na jeden dzień. Mikołajscy byli dobrze urządzeni. Mimo wysiedlenia z Poznania zdążyli się dorobić w Piotrkowie Trybunalskim ładnego, kilkupokojowego mieszkania, dobrze umeblowanego, pełnego dywanów i obrazów, widać, że im wojna nie zaszkodziła, wręcz odwrotnie, mieli się chyba dużo lepiej niż przed wojną. Trochę u nich odpoczęliśmy, bardzo wymarznęci jazdą z Poznania w wagonie bez szyb. Pamiętam poczęstunek w pociągu. Jakiś młody ksiądz podzielił się ze wszystkimi w przedziale ciastem. Była to babka – podzielona na dzwonek i polana skondensowanym mlekiem, już z produkcji amerykańskiej. Było to coś przepysznego: aromatyczne, słodkie i pulchne.

Powróciłem z Poznania do Krakowa jeszcze w marcu 1945 roku, aby zlikwidować mieszkanie na Woli Duchackiej i przenieść się do Romka, który mieszkał „Na placu Grobli”, w oficynie z widokiem „vis a vis” wawelskich wież. Na tym samym piętrze, chyba trzecim, mieszkała ciotka Romka pani Dębowska, której mąż był zecerem w drukarni narodowej w Krakowie. Dąbrowscy mieli syna, dużo od

nas młodszego – Jurka. Na stacji mieszkał u nich „JA-SIU” – zwany „SIU-JA”. Ciekawa postać, przed wojną był w seminarium duchownym, po wojnie ukończył studia na Akademii Górniczo-Hutniczej i był odkrywcą zagłębia miedziowego w Lubiniu.

W 1945 roku była taka sytuacja, że Romek chodził w „konkury” do Krystyny, najmłodszej z trzech córek straganiarza z Sukiennic, a będąc dochodzącym na kolację do państwa Zajączkowskich przynosił mi na kolację dwie kromki chleba z wędliną, które dostawał regularnie na śniadanie. Była sama idylla, ale pewnego dnia wszystko się zawaliło, gdy państwo Zajączkowsky zostali okradzeni i zamieszani w aferę śledczą, w której także zostałem przeszukiwany na milicji w budynku przy ulicy Piłsudskiego przez „oficera śledczego”, ubranego modnie po kozacku, w popielatej czapce karakułowej.

W Krakowie, po dyplomie była komisja przydziału pracy i dostałem skierowanie na Śląsk do pracy w kopalni węgla, ale nie zdecydowałem się tego przyjąć, bo bym nie mógł wrócić do Poznania. W końcu czerwca przyjechałem do rodziców, którzy mieszkali kątem u państwa Stabińskich. Przyjęli nas gościnnie do swoich dwóch pokoi. Właściwie mieszkanie nie było ich własnością, lecz zajęte przez nich mieszkaniem po Niemcach tzw. Balten-

deutch'ach. W czteropokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze przy Rynku Łazarskim mieszkała także rodzina Kokorniaków oraz pani Maria Sokołowska – przybyła z wysiedlenia córka przedwojennych właścicieli mieszkania. Ojciec zgłosił się do pracy i został przyjęty do Liceum Pedagogicznego na ulicy Mylnej. W domu była bieda.

Zdzisław PIWOWARCZYK

Rysunki: autor



O Sienkiewiczzu inaczej

DZIECI PISARZA cz. II

Do tej pory w niniejszym eseju opierałem się na informacjach uzyskanych z drugiej ręki. Teraz postaram się przedstawić zdarzenia i wrażenia z osobistych kontaktów. Nie jest to zadanie łatwe. Oboje (mój ojciec i ciocia Dzinia) byli nadzwyczaj oszczędni w opowiadaniu o sobie – skut-

ki wrodzonej skromności. Mego ojca dzieci nudziły i niecierpliwiły. Rozwreszczane (nie znosił hałasu), roztargnione i nieodpowiedzialne (a tacy niestety byliśmy – moje trzy siostry i ja w szczególności). Tu różnił się od swego rodzica, który dzieci uwielbiał. Natomiast abominacje do małych „błazenków” przejął od swej ukochanej cioci Zii (Janczewskiej), w której domu latami przemieszkiwał. Miał z nią świetny kontakt, ale już jako młodzieniec i człowiek dorosły. Nasza matka, która dbała nadzwyczaj o spokój ukochanego

męża, skutecznie go od nas izolowała. Czasem w ramach „litości dla zwierząt” rozpoczynał jakąś z nami zabawę, ale kiedy zbyt się rozbrykaliśmy wycofywał się w swoje zacisze. W dzieciństwie właściwie to ojca widywaliśmy z pewnej odległości.

Ojciec bardzo mi zaimponował w czasie okupacji. Z pogodą i godnością znosił wojenną biedę. Nie wahał się narażać swój dom, którego drzwi były otwarte dla partyzanckich oddziałów, służąc im kwaterą, zaopatrzeniem i

opieką sanitarną. Aresztowany dwukrotnie przez gestapo cudem ocalał od wywózki do Oświęcimia. Gdy go aresztowano drugi raz, latem 1944 roku, pojawiła się możliwość opłacenia Niemcom jego zwolnienia. Chłopi obłęgoreccy złożyli sumę 12 000 zł. Na nędzę okupacyjną sumę znacz-

ną. Wymownie to świadczy o uczuciach jakimi miejscowa ludność dążyła „naszego dziecka”. Przesłuchiwany na gestapo na pytanie czy sprzyja partyzantom śmiało odparł, że sprzyja – a czemu? – pyta gestapowiec – walczą o naszą wolność – nie macie wolności? – obozy, łapanie, rozstrzeliwanie zakładników, wywózki na przymusowe roboty pan chce nazywać wolnością? Godna odpowiedź niezłomnych bohaterów sienkiewiczowskich dzieł.

Kontakt z ojcem nawiązałem

dopiero w okresie moich studiów, na kilka lat przed jego śmiercią. Niesłychanie imponowała mi jego interdyscyplinarna erudycja. Że znał się na stylach, w porządku, jakby nie było skończył architekturę. Na sztuce – studiował rzeźbę. Na literaturze – osobiste kontakty i wpływ ojca pisarza.

Historia – wysłuchane wykłady na UJ., ponadto ojciec autor historycznych powieści. Ale kiedy rozmawiałem z nim o problematyce specjalistycznej dla etnologii i arche-



ologii, które to kierunki studiowałem, ze zdumieniem stwierdzałem głęboką wiedzę o teoriach kultury, praktyce indoeuropejskich ludów i metodach ich lokalizacji. Nie pamiętam bym go jakąś rewelacją naukową zaskoczył, o czym by już nie czytał lub bodaj się z nią nie zetknął. No cóż studiom z różnych dziedzin poświęcił po maturze ponad 40 lat. Zaszył się w Obłęgorku, ale kontaktu z życiem intelektualnym nie stracił. Prenumerował Zeszyty Naukowe Polskiej Akademii Umiejętności, zamawiał nowości wydawnicze, głównie naukowe (wiem to od mojej matki).

Wojna i czasy powojenne przerwały te kontakty. Mark-sistowska interpretacja obowiązująca w nauce razila ojca prymitywnymi uproszczeniami i demagogią. Dziwaczał. Zamykał się w skorupie. Jeszcze bardziej unikał ludzi. Pamiętam zdarzenie jeszcze przed otwarciem muzeum sienkiewiczowskiego w Obłęgorku (1958 rok). Przyszli jacyś zwiedzający oglądać miejsce pobytu głośnego pisarza. Chcieli spotkania z jego synem. Jak mu to oznajmiłem polecił powiedzieć: „że gabłota jeszcze nie gotowa”. Czasem odwiedzał kuzyna i przyjaciela prof. Edwarda Janczewskiego w Krakowie. Z radością witał ukochaną siostrę Dzinę. Czytał nowości literackie, „Tygodnik powszechny”, wracał do starych lektur, czytał w oryginale Tacyty i Home-

ra. Miał specyficzne poczucie humoru. Sam był niesłychanie pedantyczny. W swoim zacisku każdy przedmiot, każda książka miały swoje ustalone miejsce. Natomiast gospodarstwo mamy, a więc cały dom, rządziło się kresowym bezhołowiem. Wiesz – kiedyś mi tajemniczo zakomunikował – w tym domu nie przestrzega się jakiś organizacyjnych zasad. Jest jedna sumiennie przez wszystkich przestrzegana – żeby żaden przedmiot nigdy nie znajdował się dwa razy na tym samym miejscu”. Innym razem, kiedy toczyła się wśród historyków dyskusja czy Homer to jedna postać, czy „Iliada” i „Odyseja” są dziełem innych autorów, podzielił się ze mną taką oto refleksją: „uczeni w swojej przenikliwości dojdą niebawem do wniosku, że „Iliadę” napisał nie Homer, tylko inny Grek o tym samym nazwisku”.

Odszedł kiedy między nami zaczęła się kształtować przyjaźń, oparta na wspólnych zainteresowaniach. Dlaczego w pełni nie wykorzystałem tej przyjaźni?

Jakżeż w innej sytuacji była moja kuzynka – Maria Korniłowiczówna, córka drugiego ukochanego dziecka pisarza – Dzini. Mieszkały zawsze razem – całe życie. Medzia, jedynaczka, nie wyszła za mąż i do końca dni swojej matki dzieliła z nią dom, i mogła chłonać ten świat całą duszą i umysłem.

Jaka była Dzinia w dzieciństwie i młodości? Usposo-

bienie miała żywsze od brata.

W liście do 20-letniego już syna Sienkiewicz pisze: „...dobra robota Twego Janka (?) szła podobno o lepsze z żywotnością i skrzającym się dowiecipem Twojego milczenia (...) dlatego pewno milczysz, że Twoja siostra telepie za dwóje a nawet za troje ...”. Troska (nadmierna) Wandy Szetkiewiczowej, żeby sława ojca nie przewróciła im w głowach miała taki skutek, iż wszelkie objawy zainteresowania, a zwłaszcza publiczne, przyjmowali jako dopust Boży. Zdarzyło się, że byli obydwoje w teatrze z wujostwem Janczewskimi. Ktoś zrobił uwagę – „tam w łóżu są dzieci Sienkiewicza”. Wszyscy widzowie powstał, robiąc im owacje. Henio zaszył się w kąt łóżu, tak że go nie było widać. Czola stawiała Dzinia. Stała u ba-



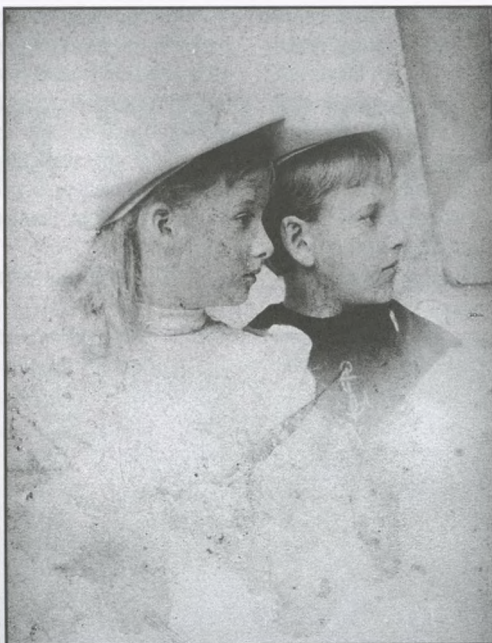
lustrady, śliczna zapłonioma po włosy, ze spuszczoną głową jak winowajczyni. Komentowały to potem; „to dlatego, że tatuś jest sławny”. Jako dorosła panna brała w Warszawie kursy pielęgniarstwa, po to by w czasie bytności w Obłęgorku opatrywać rany i urazy miejscowego chłopstwa. W liście do Wandy Ulanowskiej z roku 1909 Sienkiewicz pisze: „...Trzeba Dzini bardzo pilnować, gdyż ona zawsze więcej myśli o drugich niż o sobie i zawsze znajduje, że dla niej wszystko jest dobrze. Taka była od dzieciństwa...”

Awersje do oficjalnych uroczystości, gdzie nie daj Boże mogłaby być obiektem zainteresowania dzieliła ze swoim bratem solidarnie. Wychowanica babki Wandy i „pierwsze skrzypce” – nie do pomyślenia. O swej kostycznej babce wyrażała się zawsze z największą atencją. Uważała pewnie, że tak trzeba. Jakaś zadra jednak tkwiła. Już na łożu

śmierci wyrwała jej się skarga: „a babunia była bardzo surowa”. Metoda usuwania się w cień była przez oboje stosowana przez całe życie. Gdy dziad miał jechać do Sztokholmu odebrać nagrodę Nobla, chciał zabrać córkę. Oddajmy mu głos. W liście do syna, pod datą 28XI1905 roku pisze: „...nie mówiąc po niemiecku często będę w kłopotach, dlatego chciałbym zabrać sekretarza poliglota i myślałem o Dżini. Zdecydowała się, ale bez większej chęci. Boi się przyjąć (podkreślenie J.S.). Stosunki z dworem są przeciwne jej zasadom¹...” Ten tekst rzuca wiele światła na osobę Dżini. Pomyśleć – 22-letnia panna; śliczna, wykształcona, znająca języki, świadoma, że się nie zblamuje, wzdyga się jechać na uroczystość wręczenia nagrody Nobla swemu ojcu! Dalibóg nie znam młodej osoby, która nie chciałaby ptakiem pofrunąć na taką uroczystość. Co ją powstrzymywało? Ojcu tłumaczyła, że w tym gorącym czasie (rewolucja 1905) obowiązkiem Polaka jest obecność w kraju. Oczywisty nonsens!

Te parę dni nieobecności w Warszawie, nawet córki głośnego pisarza, na losy kraju i rewolucji wpływu mieć nie mogły. A przecież megalomanii nie miała za grosz. Więc cóż? Ano może stała się przedmiotem zainteresowania, które by ją „przed orkiestrą” wypchnęło? Toż by się pod ziemię zapadła. Czula pewnie przez siódmą skórę (sama się do tego przed sobą nie przyznając), że ojca będą fetować, a ją podziwiać. To było ponad jej siły.

Córka pisarza miała możliwość odgrodzić się od cienia „Wielkiego Drzewa” dopiero



kiedy wyszła za mąż, za pułkownika Tadeusza Kornilowicza (zginął w Katyniu). Już pod nazwiskiem męża tłumaczyła Romaina Rollandą, Josefa Conradą – Korzeniowskiego – „Smugę cienia”, „Zwierciadło morza”, „Szaleństwo Almayera”.

Tyle z opowiadań i listów. Teraz moje refleksje osobiste. Siostra mego ojca była naszą ukochaną ciocią. W przeciwieństwie do brata umiała z nami – dziećmi nawiązać serdeczny kontakt.

Przypominam sobie takie zdarzenie jeszcze sprzed wojny. Ciocia miała przyjechać do Obłęgorka, ku wielkiej radości domowników. Pokoje, które miała zajmować zostały wysprzątane na „hoh puc”. W

oznaczonym czasie nie przyjechała (zawsze ją zatrzymywały czyjeś kłopoty). Tata zrobił uwagę, że „jeżeli czeka się z radością na gościa i solennie przygotowuje się na jego przy-

bycie, to nigdy nie zjawi się w oznaczonym terminie. Gdyby w pokojach dla Dżini był bałagan przyjechałaby niezawodnie”. Postanowiliśmy (dzieci) sprowokować przyjazd. Wór wełny prosto od strzyży rozrzuiliśmy po jej pokojach. Po skutkowało. Do wysprzątanego pokoju nikt nie zaglądał. Smród baraniego runa był wszeteczny. Dostaliśmy od mamy sążnistą burę, ale byliśmy radzi, że nasze magiczne metody poskutkowały.

Dziś pamiętam ukochaną ciocię jakby przez mgłę. Nie ma jej! Nie ma mego ojca! Odeszli ci wspaniali ludzie. Świecili własnym, nie odbitym blaskiem, ale blask ten znali tylko ko najbliżsi.

Juliusz SIENKIEWICZ

1. Ciocia w młodości skłaniała się ku socjalizmowi. Bolał nad tym jej ojciec – narodowy konserwatysta. Z socjalistycznych ciagot wylęczyła ją skutecznie Polska Ludowa. Dziadek mój już tego nie doczekał.

Porozmawiajmy o sztuce, czyli kącik jej amatora (10)

STAN DUCHA

„...Być albo nie być, oto jest pytanie...”

Gdyby uwolnić się mógł sam od tego nagim sztyletem –

Któż by niósł ów ciężar i dźwigał życie swe udręczone, sapiąc i pocąc się,

Gdyby mu trwoga przed czymś po śmierci,

przed tą nie odkrytą krainą, z której nie powraca żaden wędrowiec,

woli nie pętała, każąc znieść ów ból...”

Tak nasza świadomość wszystkich nas przemienia w tchórzy...”

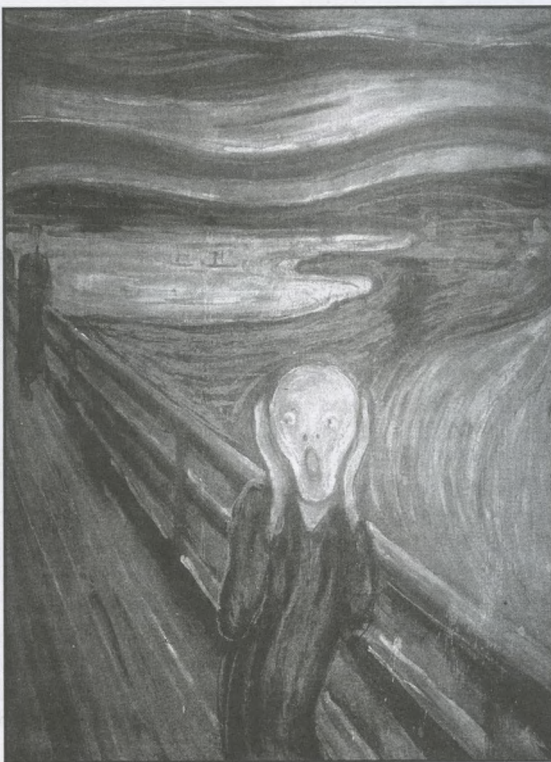
William Shakespeare „Hamlet”

w przekładzie Macieja Słomczyńskiego, Hamlet do Ofelii Akt III

Dawno, dawno temu, za wieloma morzami, za wieloma górami i ciemnymi lasami ...tak zazwyczaj zaczynają się baśnie, nawet te najpiękniejsze - Hansa Christiana Andersena. Historia, o której powiem nie działa się tak dawno, bo zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Może nie za wieloma morzami a jedynie poprzez Bałtyk i z pewnością nie za górami, bo zdarzyła się w królestwie duńskim. O kryminalnych faktach posłyszał ktoś bardzo ciekawski, bo sam William Shakespeare i opisał w arcyudanym dziele. Zamek Kronborg nad cieśniną Sund i leżące nieopodal miasteczko Elsynor miały być tłem dla zbrodniczych wydarzeń. Istotnie sceneria mrozi krew w żyłach. Wedle dwunastowiecznej kroniki Saxo Grammaticusa, wypadki miały jednak miejsce nieco bardziej na zachód, na Jutlandii. Krwawa historia Hamleta dotyczy rodziny panującej. Wydaje się być zarezerwowana dla możliwych tego świata. Czy na pewno? Przecież zdrada, gwałtowna śmierć, następny związek skażony zbrodnią i cynicznym oszustwem

oraz cierpienia prowadzące niewinnych aż do szaleństwa przydarzyć się mogą wszystkim ludziom i ... zdarzają się. Ofelia zginie w obłędzie przez najpiękniejsze, najczystsze

zakochanie. Młody Hamlet zawiedzie się gorzko na matczynej miłości. Pragnąc gorąco sprawiedliwości spowoduje następne tragedie. Zgubna namiętność aby osiąść pełnię władzy, pełnię życia, aby zapanować nad jego bogactwami doprowadzi Klaudiusza do ohydnej zbrodni...etc. Ileż prawdy o nas zawiera się w tej autentycznej tragedii sprzed kilkuset lat! Nie chcę przez to powiedzieć, że każdy z nas w perfidny sposób pozbawił bliźniego życia lub po zerwanych zaręczynach popadł z próżnej tęsknoty w urojenia. Przyznajmy jednak, że wielkie wydarzenia dziejące się wokół a nawet takie, na których powstanie sami wpływamy zadają próby nierzadko ponad siły. Te uczucia napięte do granic, kiedy świat obraca się w niwecz, kiedy blisko jest szaleństwo



leństwo z zazdrości, miłości, lęku przed śmiercią, kiedy pali niepokojona ambicja i doskwiera dotkliwie hańba po-

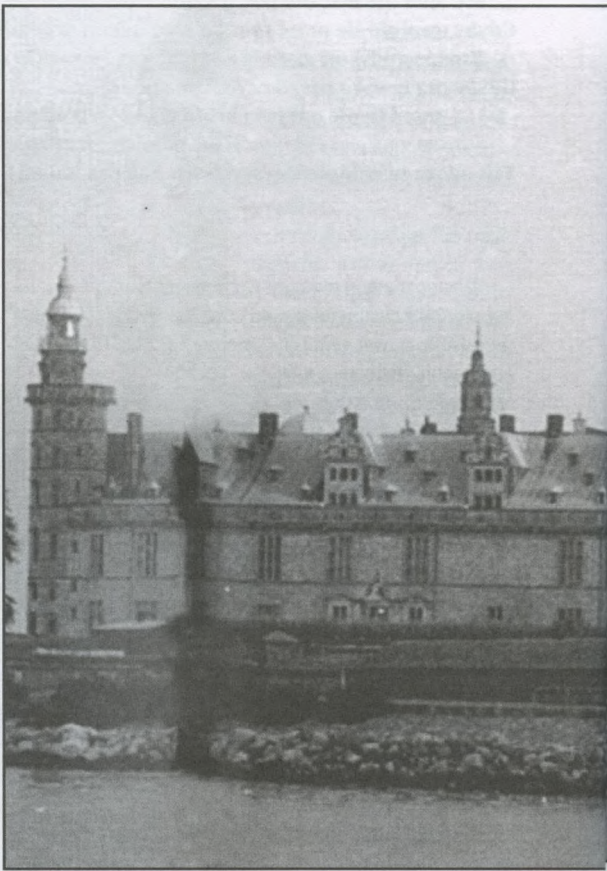
rażki - czyż na pewno pozostają nam obce? „Życie me udreżone”, „trwoga przed czymś po śmierci” – filozofuje Hamlet o losie człowieka, o tej doli zwierzęcia obdarzonego zbyt wielką świadomością. Edward Munch wspaniałym malarz, twórca dwudziestowiecznego ekspresjonizmu (współ z Vincentem van Goghem) chce być najbliżej fundamentalnych tematów. Oto one: nieskończony ogrom wiecznej natury a małość śmiertelnego człowieka, nieokiełznana radość życia i lęk przed śmiercią, bezgraniczna miłość i taka zazdrość. Kiedy obok siebie kładzie dwie potęgi: życie i śmierć jest artystą uniwersalnym, jak anonimowi twórcy glinianych figurek z Tlatic, żyjący ponad trzy tysiąclecia temu.

Z Elsynoru już niedaleko drogą morską do norweskiego brzegu i do Oslo (dawniej Christianii, gdzie Munch spędził młodość). Oto długi most, który łączy brzegi fiordu. Wznosi się odważnie nad głęboką wodą. Przypomina symbol trudów i niebezpieczeństw życia. Jest jak z domowego sennika lub odpustowego obrazka z Aniołem Stróżem. Za jego mocnymi deskami pnie się pod górę uczęszczana droga. Biegnie dalej pomiędzy starymi domami o białych i czerwonych ścianach. Wzdłuż brzegów, w przejrzystych falach przeglądają się potężne, skandynawskie lipy. Z pewnością Munch, od wczesnego dzieciństwa znał każdy zakątek tego urokliwego miejsca. Kiedy tylko nadarzała się sposobność, wędrował po moście. Podziwiał jego rozległość oraz wspaniały widok na Christianię ukrytą w spokojnej zatoce i na liczne żaglowce majestatycznie podążające do portu. Ale wiele się zmieniło od szczęśliwych czasów. Wtedy przechadzali się tutaj z Joanną, odświętnie ubrani, trzymający się za ręce, pod czułą opieką ciotki Karen. Johanne Sophie była o rok starszą od Edwarda, ukończoną siostrą.

We wielkopolskim Wolsztynie, heros ludzkości – dr Robert Koch spostrzegł pod mikroskopem prątki gruźlicy zapoczątkowując zwycięską walkę z chorobą. Ale stało się to dopiero w 1882 roku. Matka artysty - Laura zmarła czterdzieści lat wcześniej. Doskonale miał przed oczami moment, gdy nadeszła po nią śmierć. W pokoju świeciła się gwiazdkowa choinka. Chora w ciężkiej, czarnej sukni siedziała na środku kanapy. Łatwiej oddychała w takiej pozycji. Było cicho. W izbie zebrali się wszyscy: ojciec, wtedy już mężczyzna ponad pięćdziesięcioletni, Edward, Joasia, młody Andrzej i ciocia Karen – co chwila zaglądająca do niedawno urodzonej Inger. Ojciec był niespokojny. Z natury krewki nie mógł pogodzić się z wyrokiem opatrności. Nie dopuszczał – jak każdy lekarz – myśli o śmierci. Wzburzony chodził z parteru na piętro i z powrotem. Mama łagodnie uśmiechała się do dzieci, a jej łzy obficie płynęły po białych, przejrzystych policzkach. Edward nosił w bolesnej pamięci jeszcze inną śmierć. Wracali do niego obrazy z

tych wiosennych dni, gdy na gruźlicę umierała Joasia. Wtedy miał już czternaście lat. A zaledwie rok temu odszedł na zawsze biedny ojciec. Cały czas, od pamiętnej zimy Christian Munch trwał w oblężeniu z tęsknoty za żoną. Teraz Edward siedział z przyjaciółmi po moście nad fiordem Oslo.

Nadmorskie i zimne jak górski kryształ powietrze w Norwegii jest specyficzne. Wszelkie błyski promieni sło-



necznych mają w nim szczególną intensywność, surowość, ostrą barwność i nie rozplývają się łatwo w łagodną mgiełkę międzytonów. Zwłaszcza w ten wieczór 1891 roku niebo wyglądało przerażająco. Wielkie słońce chowało się właśnie za rozległy widnokrąg zatoki, gdy Muncha zatrzymało dojmujące do głębi wrażenie. Kurczowo chwyciwszy się balustrady obserwował, jak żywioł lepkiego ognia karmazynową czerwienią i złotem płonącej krwi z oszalałą prędkością zalewa dotąd spokojny fiord. Niespodziewany kataklizm pozostawiał po sobie jedynie zgłiszczącej pustej otchłani. Cień granatowo-czarnego tunelu wsysał wszystko gwałtownie, jak trąba powietrzna. Malarz ze zgro-

za poczuł, że nie żyje i znalazł się poza czasem. Z daleka widział swoją dziwną, bezsensowną i małą egzystencję. Przestrzeń dotąd cicha zawibrowała tak gwałtownie, że posłyszał wysoki, przeraźliwy krzyk przewiercający na wyłot całą naturę. Odruchowo, z siłą zatkał uszy i otworzył szeroko usta. Artysta, jak wspomina, odczuł bezdenną samotność, dziwność swojego istnienia, obcość w tłumie



przyjaciół i ogarnęła go bezsilna tęsknota za ukochanymi co odeszli. Ci najbliżsi to „było wszystko, moje kochane, jedyne”, mówił często. Akord najsilniejszych, czystych kolorów; czerwieni, błękitu, żółci i zieleni brzmi złowieszczo we wirującej przestrzeni łącząc się w olśniewające błyski jasności u góry obrazu, a w dole spada w czeluść. Tam tony stają się oliwkowe, brunatnieją i czernieją. „Krzyk” to naprawdę potężne, osobiste malarstwo - wydobyte z pamięci doniosłego przeżycia.

Podobne doświadczenie zdarzyło się na początku szesnastego stulecia Albrechtowi Dürerowi. Miał proroczy sen. Ujrzał jarzącą się kulę, nacierającą nieodwołalnie i błyska-

wicznie. Zobaczył ciemną falę zagłady paraliżującą wszystko na swej drodze. Sporządzony przez artystę akwarelowy portret tej wizji przedstawia... wybuch bomby atomowej! Niezwykły, północny Sokrates, najbliższy przyjaciel Hansa Christiana Andersena - Søren Kierkegaard sądził, że podskórny, ciągły niepokój jest nieodłącznym elementem życia człowieka. Co jakiś czas odczuwana groza istnienia musi nam towarzyszyć, skoro każda próba Ikarrowego wlotu by zbliżyć się do wieczności, czyli do Boga - skazana jest na poniżającą porażkę. Co rusz przekonujemy się o własnej marności i bezsile. Ale przecież - napisał z optymizmem filozof - przeżywana w ten sposób egzystencjalna męka jest potrzebna, by uzyskiwać człowieczeństwo! Głęboka, nie tania i kochająca ludzi filozofia Kierkegaarda z pewnością przemawiała do refleksyjnej natury Muncha. Malarz wcześniej zrozumiał, że nie może być dalej impresjonistą. Ten sposób budowania formy okazał się bezużyteczny w jego stanie ducha, gdy z żalu „chciało się wyć”, gdy malując scenę umierania Joasi - z tęsknoty, jak zwierzę drapał i kaleczył płótno.

Nadużywanie życia połączone z lękiem przed śmiercią, daremna tęsknota do absolutnej władzy, władzy także nad życiem oraz naiwne pragnienie najgłębszej miłości to są w istocie podstawowe namiętności. Z łatwością potrafią rozsądzić i spalić ze szczerem egzystencję niejednego z nas. Siły te spotęgowały działanie w wieku XX, który dzisiaj minął. Kiedy Edward Munch - Hamletowy spadkobierca tworzył ekspresjonizm, wiek zaczynał się właśnie. Wtedy śmierć przestała być sprawiedliwa, godna i nie wieńczyła już wartościowego, nabożnego żywota. Zaczął się wrzący, twórczy, ale jednocześnie głęboko chory i cierpiący wiek dwudziesty. Gwałtowna i niechciana... „produkcyjna” śmierć w gazowej komorze, katyńskim lesie lub w jaskrawym podmuchu atomowego grzyba utraciła resztki świętości. Człowiek stał się kolejnym numerem, a jego indywidualny zgon nie znaczył już nic. Podobnie jak jego osobiste życie. Człowiek był teraz tylko jedną niepotrzebną komórką, podobną komórce złuszczonego nabłonka na przerażającym Golemie nazywanym „jedynym słusznym” i „sprawiedliwie” zorganizowanym państwem. Niemożliwym stał się odtąd spokojny rejs na Böcklinową wyspę. Zauważył to sam, stary Böcklin w ostatnich, niepokojących dziełach. Wkrótce wzorem Edwarda Muncha ekspresjonści brutalnie odsłoniли najbardziej osobiste, intymne doznania człowieka. Szczerłość stała się jedynym ratunkiem. Artyści chcieli zrobić rachunek sumienia, aby kiedyś móc powrócić do lepszego świata...Kiedy?

Ryszard ZAWADZKI

Foto: archiwum

Stały apel do czytelników:

Prosimy pisać do redakcji, przysyłając Wasze Dzieła.

Czy Piłsudski nie chciał Wielkopolski? CZ.II

Dużym ryzykiem politycznym było objęcie obszaru ziem za-
 boru pruskiego zasięgiem okręgów wyborczych do Sejmu Ustawo-
 dawczego; 1 czerwca 1919 roku - a więc prawie na miesiąc przed
 podpisaniem traktatu pokojowego - wybrano z Wielkopolski 42
 posłów do reprezentacji ogólnokrajowej. Od maja tegoż roku Woj-
 ska Wielkopolskie *de facto* zostały podporządkowane Naczelne-
 mu Dowództwu w Warszawie, zaczęto formować fronty przeciw-
 ko planowanej przez Niemców ofensywie. Przyznać trzeba, że dość
 trudno decyzje te potraktować jako dowód obojętności Warszawy
 wobec spraw zaboru pruskiego. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę,
 że wtedy już chodziło nie tylko o los regionu czy zaboru, lecz
 Rzeczypospolitej jako całości, wyraźnie tu widać dążność do jak
 najszybszej integracji Poznańskiego z resztą kraju. Po podpisaniu
 Traktatu Wersalskiego zniknęły wszelkie
 formalne przeszkody na drodze połącze-
 nia - utworzono Ministerstwo Byłej Dziel-
 nicy Pruskiej, region stopniowo stawał się
 częścią odrodzonej Polski.

Rozpowszechnioną opinię o niechętnym stosunku Piłsudskiego do Wielkopolski i jej mieszkańców można bardzo łatwo podważyć cytując choćby wypowiedzi samego Marszałka po ostatecznym zjednoczeniu Polski. Nie był też Piłsudski germanofilem, z oczywistych powodów nie przepadał też za Rosją - niezależnie od ustroju panującego w tym kraju. Jeszcze w 1934 roku w rozmowie z premierem Węgier G. Gmbsem na stwierdzenie, że doskonale mówi po niemiecku, miał odpowiedzieć: „*Tak, lecz z silnym akcentem magdeburskim*”. To jeszcze jeden argument podważający opinie, że przyszły Naczelnik nie popierał interesów Poznania, gdyż zaprzedał się Berlinowi.

Do najszlachetniejszej wizyty Piłsudskiego w Poznaniu doszło między 25 i 27 października 1919 roku. Pierwszego dnia Naczelnik Państwa został przyjęty na dworcu letnim (cesarskim przy ul. Dworcowej - tym samym, na którym niespełna rok wcześniej uroczyste witano I.J. Paderewskiego), a następnie powozem udał się do zamku cesarskiego przy Św. Marcinie. Tam, po śniadaniu, w dawnej sali tronowej dokonano prezentacji wielkopolskich władz cywilnych i wojskowych. Po południu odbyła się uroczysta akademія w Teatrze Polskim - ale uwaga: poświęcono ją nie dostojnemu gościowi, lecz osobie Karola Libelta; obecny na widowni Piłsudski

był jedynie ciepło a serdecznie powitany przez rektora nowo utworzonego Uniwersytetu Poznańskiego, Heliodora Świącieckiego. Wieczorem Naczelnik Państwa obejrzał galowe przedstawienie w Teatrze Wielkim i pokaz ogni sztucznych. Nocował w zamku cesarskim, w apartamencie Naczelnika Państwa.

Następnego dnia, w niedzielę, J. Piłsudski uczestniczył w uroczystej mszy, odprawionej w katedrze przez prymasa Polski, arcybiskupa Edmunda Dalbora, a później w Złotej Kaplicy oddał hołd ceniom Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Przy wejściu do ratusza, w którym podejmowano Naczelnika śniadaniem, prezydent miasta Jarogniew Drwęski wygłosił mowę, w której rzekł m.in.: „*Oddajemy Tobie dziedzictwo, kłóregośmy strzegli, Tobie, który prawo masz szafować życiem i naszą krwią. Szafujnia na zbawie-*

nie narodu". Potem były wyścigi konne na Ławicy i powrót do zamku, gdzie Piłsudski przyjął delegację Kaszubów, a wieczorem odbył się bankiet („obiad galowy”) u ministra b. dzielnicy pruskiej, Władysława Seydy.

Dotychczas Naczelnik Państwa prawie nie zabierał głosu, nie wygłaszał żadnych mów, najwyraźniej obserwował nastroje Wielkopolan. W tym większym zainteresowaniem oczekiwano jego wystąpienia na owym bankiecie, wobec ponad dwustu osób wysoko postawionych w hierarchii regionu. Istotnie, doczekano się wypowiedzi, zwłaszcza że został do niej jakby wezwany toastem Seydy: „*Naczelnik Państwa, uodź najwyższy Józef Piłsudski, niech żyje!*”. To, co zebrani usłyszeli w obszernej, wygłoszonej „z głowy” (jak niemal zawsze u Naczelnika) odpowiedzi, było hymnem pochwalnym na cześć regionu i jego mieszkańców. Piłsudski przypo-

mniał walkę Wielkopolan o zachowanie tożsamości narodowej: „Walka ta została Wielkopolanom narzucona w dziedzinie organizacji, w dziedzinie umiejętności i wytworzenia codziennego, szarego, pełnego obowiązku i pełnego trudów życia. Rzucone to wyzwanie Wielkopolanie przyjęli i w tej dziedzinie mają za sobą dorobek niewoli tak wielki, że Polska cała przed nimi się korzy.” Potem zaakcentował pracowitość, rzadność i solidność Wielkopolan, stwierdzając na końcu, że przejęcie owych cech i umiejętności przydałoby się całej Polsce.

Wystąpienie to przełamało początkowe lody i na raucie wydanym w salach zamkowych po obiedzie, Naczelnik Państwa przyjmowany był już z nieukrywana sympatia.



Trzeci dzień wizyty, 27 października 1919 roku, poświęcono sprawom wojskowym. Najpierw otwarto Muzeum Wojskowe, a potem J. Piłsudski z towarzyszącymi oficerami odebrał na Św. Marcynie defiladę Wojsk Wielkopolskich. Liczne zachowane fotografie wskazują, że dzień był deszczowy, zaś Naczelnik Państwa stał na skraju chodnika dzisiejszego placu A. Mickiewicza; oddziały defilowały od strony zamku w kierunku Kaponiery. Później podejmował Piłsudskiego obiadem gen. Józef Dowbor - Muśnicki. Po południu pociągiem Naczelnik z całą świtą wyjechał do Gniezna, z symboliczną pielgrzymką do grobu św. Wojciecha. Po kilku godzinach odbył się powrót do Poznania, a następnie, po obiedzie - kolacji wyjazd przez Kalisz (nie było jeszcze wtedy bezpośredniego połączenia kolejowego między Poznaniem i Warszawą) do stolicy. Na pożegnanie J. Piłsudski wyraził uznanie dla postawy wojska i mieszkańców regionu, a niewątpliwie ogromnie ważnym akcentem propagandowym stało się podpisanie przezeń 191 nominacji oficerских dla kadry Wojsk Wielkopolskich.

Potem w zasadzie nie było czasu na rozgrywki polityczne i personalne. Siły zbrojne Wielkopolski, połączone z armią zjednoczonego kraju, dzielnie stawiały na frontach wojny polsko - bolszewickiej, niemal zawsze używane w zwartych formacjach regionalnych, razem z dywizjami legionowymi na decydujących odcinkach - jak w sierpniu 1920 roku, gdy Wielkopolanie stanowili trzon sił wykorzystanych do kontruderzenia znad Wieprza. Marszałek zawsze wyrażał się o nich z uznaniem, a sądząc z treści wypowiedzi, rozkazów czy przemówień z okazji odznaczania Orderem Virtuti Militari kolejnych sztabarów pułków wielkopolskich, były to słowa szczere. Można odnieść wrażenie, że pułki kresowe Piłsudski kochał, wielkopolskie - traktował z uznaniem i respektiem.

Wkrótce zaczęła się jednak kontrakcja polityczna, wielkopolscy działacze endeccy aktywnie zaangażowali się po stronie J. Dowbor - Muśnickiego w jego sporze z Piłsudskim i ochoczo poparli koncepcję pomniejszania roli Marszałka w Bitwie Warszawskiej, na rzecz zasług generałów Józefa Hallera i Tadeusza Rozwadowskiego, w ostateczności - gen. Maxime'a Weyganda. Większość kadry z Wielkopolski poparła też rząd w czasie przewrotu majowego 1926 roku. W Wielkopolsce zaczęli gromadzić się ludzie, dla których nie było miejsca w Warszawie, w Polsce centralnej, zaś region stał się twierdzą opozycji antysanacyjnej, osobiście nie tylko niechętniej, lecz nawet wrogoj Piłsudskiemu.

Oczywiście taka akcja musiała spowodować reakcję Warszawy, która starała się różnymi sposobami nie tylko podporządkować sobie Wielkopolskę gospodarczo i politycznie, lecz także rozbić ową twierdzę endecji, przynajmniej trzeba - nie zawsze czystymi metodami. Tak utracono kandydaturę Cyryla Ratajskiego na kolejną kadencję jako prezydenta miasta Poznania, tak przysłano tu jako prezydenta komisarycznego, płk. Erwina Więckowskiego - człowieka prawego i dobrego fachowca, lecz nie pasującego do miejscowych układów politycznych. Jeżeli w kraju działało się coś antysanacyjnego, miało formę zorganizowaną i odpowiednią oprawę religijną, to z pewnością zjawisko to występowało w Wielkopolsce. Podobna sytuacja była na Górnym Śląsku, gdzie doszło do niemal jawnej wojny między dwoma politycznymi gigantami: Woj-

ciechem Korfantom i Michałem Grażyńskim. Jednak tam, ze względu na specyficzną autonomię, konflikt ten miał inny przebieg i podłoże. Na głoszenie innych poglądów w Poznaniu miejsca nie było, używano sobie na Piłsudskim w działalności publicystycznej, kulturalnej, a nawet naukowej (W. Konopczyński). W tym duchu też zaczęto kształtować opinię kolejnych pokoleń, co widać aż do dziś.

Wykorzystano tu dokumenty polityczne i wypowiedzi związane z konkretną sytuacją polityczną wymagającą takiej a nie innej retoryki, oddzielano te wypowiedzi od realiów sytuacyjnych i czynów, wyrwano zdania i słowa z kontekstu, nie cofano się przed oszczerstwem - wydaje się, że niestety, zamierzony efekt udało się osiągnąć. W rzeczywistości to nie Piłsudski nie chciał Wielkopolski, lecz miejscowi działacze endeccy nie życzyli sobie jego zwierzchnictwa i nie szczędzili sił ni argumentów, by zdeprecjonować osobę Marszałka od strony fachowej, moralnej i patriotycznej. Zaciętrzewienie polityczne dało początek zaślepieniu, które wprawdzie nie skończyło się tragedią taką jak w Warszawie, gdy kampania nienawiści doprowadziła do zbrodni na osobie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza. Nie zapomnijmy jednak, że zamachowiec, Eligiusz Niewiadomski, sam zeznał na procesie, że początkowo zamierzał pozbawić życia Józefa Piłsudskiego. W Wielkopolsce takie metody nie wchodziły w rachubę, za to wcale skutecznie, na dobrych kilka pokoleń zniszczono szacunek do człowieka, który może nie nadawał się do panteonu świętych, ale miał charyzmę, autorytet, był nie kwestionowanym współtwórcą Polski Niepodległej i na swym patriotyzmie majątku nie zrobił.

W burzliwych latach 1980 - 1982 w Wielkopolsce nagle odżył kult Józefa Piłsudskiego - szczególnie akcentowany... w kościołach (m.in. w klasztorze i kościele OO. Dominikanów), co niewątpliwie kontrastowało z ogólnie mówiąc, niezbyt konsekwentnym stosunkiem Marszałka do religii i jej kapłanów. Wyraźnie działał tu mechanizm pozwalający stwierdzić, że wróg mego wroga jest moim przyjacielem. Gdy jednak Polska odzyskała suwerenność, znów podniosły się głosy nawiązujące do nastrojów i opinii panujących w Wielkopolsce kilkadziesiąt lat wcześniej. W rezultacie w Warszawie Józef Piłsudski ma jeden z głównych placów miasta i dwa pomniki, a w Poznaniu ulicę - peryferyjną. Siła sloganu kolejny już raz okazała się silniejsza od ustaleń historyków, od wiedzy, wreszcie od logiki.

Zakończmy jednak innym wnioskiem, być może odbiegającym od tonu dotychczasowych rozważań. W Poznaniu pojawiła się nie dawno inicjatywa wystawienia swoistej alei pomników szczególnie zasłużonych Polaków. Ma być wśród nich również statua Józefa Piłsudskiego. Wydaje się jednak, że należy uszanować opinię środowiska i zamiast monumentu Pierwszego Marszałka Polski, należy postawić pomnik Karolowi Marcinkowskiemu, który symbolizuje cały wielkopolski model marszu ku niepodległości. Piłsudski ma w Poznaniu już tablicę pamiątkową w eksponowanym miejscu, ale „Doktor Marcin” wciąż czeka na uznanie swych współziomków. Tutaj ON powinien być na pierwszym miejscu.

Marek REZLER

27 marca Międzynarodowy Dzień Teatru

FAN CLUB TEATRU POLSKIEGO W POZNANIU Z SIEDZIBĄ W ŚREMIE

Zainaugurował swoje istnienie 25 września 1999 r. Na uroczystość przybył dyrektor Teatru Polskiego Waldemar Matuszewski oraz z ramienia Starostwa Śremskiego Zbigniew Gordziej.

W części oficjalnej zaprezentowano cele i zadania przyszłego FAN-CLUBU.

W drugiej części - spotkanie z aktorami - uczestniczyli Iwona Kotzur, Gizela Bortel i Sebastian Grek.

FAN-CLUB Teatru Polskiego w Śremie organizował w sezonie 1999/2000 r. warsztaty teatralne, które prowadzili aktorzy: Gizela Bortel, Iwona Kotzur i Sylwester Woronicki.

Warsztaty miały przygotować młodego widza do odbioru spektaklu oraz zaznajomić młodzież z tajnikami aktorstwa, zademonstrować, ruch sceniczny, nauczyć poprawnie czytać tekst.

Przez organizację wyjazdów teatralnych udało się zdobyć szeroką masę widzów oraz przyciągnąć nowych członków do FAN CLUBU.

Zorganizowano spotkania aktorskie z aktorami (ZSS, SP Nr 1, P. Nr 1, P. Nr 2, w którym uczestniczyli aktorzy: Iwona Kotzur, Gizela Bortel, Małgorzata Neumann, Monika Ralewska, Arnold Pujasa, Grzegorz Emanuel i Wojciech Siedlecki).

W Klubie Relax odbył się spektakl „EMIGRANCI” S. Mrożka, w wykonaniu Wojciecha Siedleckiego i Mieczysława Franaszka. Po spektaklu odbyło się spotkanie w Bibliotece Publicznej na Jezioranach.

W biurze FAN-CLUBU prezentowana jest stała ekspozycja Teatru Polskiego.

W warsztatach uczestniczyło w sezonie 1999/2000 ok. 150 dzieci i młodzieży. W wyjazdach do Teatru uczestniczyło ok. 400 osób.

FAN-CLUB zorganizował w klubie Relax imprezę z okazji DNIA TEATRU, w której uczestniczyli Monika Zalewska i Arnold Pujasa.

Warto podkreślić, że dużo imprez udało się zorganizować dzięki pomocy Starosty Powiatu Śremskiego, choćby warsztaty teatralne i finansowanie wyjazdu na spektakl dla dzieci w sezonie 2000/2001. Warsztaty teatralne prowadzą aktorzy i aktorki: Lucyna Winke, Iwona Kotzur, Arnold Pujasa i Wojciech Siedlecki (P.Nr2, P. Nr 3, SP. 1, G. Nr 1). Zorganizowano wyjazdy na spektakle „Dziady dreźnieńskie”, „Noc Helvera”, „Księżę Niezłomny”.

W restauracji Relax odbyła się impreza kabaretowa „Retro na niepogodę”.

Patronat nad Fan-Clubem sprawują Starosta Powiatu Śremskiego i Spółdzielnia Mieszkaniowa.

Sponsorami są: Restauracja Relax Grażyny Dominiczak, Foto Studio Andrzeja Chrabąszcza, PH „BINCOM” Krzysztofa Budzynia, Profit s.c.

FAN CLUB ma swoją siedzibę w klubie Relax. Kierownictwo urządzą w każdą środę od godz. 15.00-18.00.

Kierownictwo:

Jan Sip i Katarzyna Majchrzak

współpracują:

Agnieszka Jahns, Karolina Dominiczak.

Poniżej zamieszczamy wypowiedzi nauczycieli współpracujących z FAN-CLUBEM

„Uśmiech jest najprawdziwszy, kiedy jednocześnie uśmiechają się oczy” – te uśmiechnięte oczy widać u uczestników warsztatów teatralnych.

Dwa razy w miesiącu, na 2-godzinnych zajęciach organizowanych przez Fan Club Teatru Polskiego, uczennice I i II klasy Publicznego Gimnazjum nr 2 w Śremie, chłoną tajniki teatru, rozwijają przy tym wyobraźnię, twórcze myślenie, bezpośredni kontakt z aktorem, jego wskazówki są nieodzowną pomocą dla przyszłego aktora czy odbiorcy sztuki teatralnej.

Aktor – nauczyciel zwraca uwagę na dykcję, intonację, interpretację głosową, mimikę, gestykulację uczestnika warsztatów, jakże to wszystko jest potrzebne w dorosłym życiu młodego człowieka.

Członkowie Fan Clubu mają możliwość wyjazdu do teatru, obejrzenia sztuki, następnie mogą analizować przebieg spektaklu, wyłonić najlepsze sceny, role i aktorów. Zauważają też – dzięki temu własne błędy i niedopatrzenia przy próbie odgrywania ról. Starają się skorygować pomyłki, udoskonalić własną grę i całe widowisko.

Wszystko to, co przekazuje uczestnikom warsztatów aktor, jest bardzo ważne: sprawność i zgranie słów, ruch, muzyka, makijaż, oświetlenie.

W tym miejscu należy się podziękowanie panu J. Sipowi, szefowi Fan Clubu Teatru Polskiego, za zaangażowanie w organizowaniu warsztatów, wyjazdów na przedstawienia, spotkań z ludźmi teatru.

D. Konieczna, H. Kobot

Współpraca Przedszkola Nr 1 Niezapominajki prowadzonego przez Zgromadzenie Sióstr Św. Elżbiety w Śremie nawiązana została w 1999 r. z inicjatywy Lilli Kuczkowskiej.

Pan Jan Sip zaproponował dzieciom z przedszkola warsztaty z panią Ewą Wolczyk z Jeleniej Góry. Warsztaty odbyły się w amfiteatrze Przedszkola Nr 2. W programie były zabawy aktorskie z dziećmi i pokaz charakteryzacji.

Zainteresowanie dzieci było ogromne, w związku z tym nawiązano kontakt z nowym aktorem p. Sylwestrem Woronieckim, który zgodził się prowadzić warsztaty w naszym przedszkolu.

Warsztaty nawiązane trwają do dzisiaj, w tym duża zasługa przypada Janowi Sipowi, który koordynuje działalność Fan-Clubu.

Dzięki spotkaniom z panem Woronieckim dzieci zainteresowały się teatrem, podniosły swoją samoocenę i polubiły występy przed rodzicami lub innymi dziećmi. W czasie warsztatów aktor-nauczyciel zwracał uwagę na wyraźną wymowę, mimikę i gestykulację. Dzieci zawsze były zadowolone i radosne.

Lilla Kuczkowska

Współpraca z Fan Clubem „Relax” reprezentowanym przez p. Jana Sipa rozpoczęła się późną jesienią 1997 roku. Początki były dość trudne. Wymagały dostosowania się każdej ze stron do sytuacji. Jan Sip musiał poznać specyfikę i możliwości uczniów Szkoły Specjalnej, a my musieliśmy przywyknąć do sposobu bycia i pracy p. Sipa. Myślę, iż mogę po tych latach współpracy stwierdzić, że jeżeli p. Sip coś zaczyna to robi to rzetelnie, wkładając w swoją działalność serce. Jest co prawda autokratą – chociaż czasami dopuszcza do głosu inne osoby – ale trzeba przyznać na teatrze zna się doskonale. Dość często muszę wysłuchiwać jego krytycznych uwag, ale wiem, że wszystko to służy temu, aby zaszczyć miłość do teatru. P. Sip jest doskonałym organizatorem. Już od początku naszej współpracy ścigał z Teatru Polskiego aktora p. Sylwestra Woronieckiego, który zobowiązał się prowadzić w naszej szkole warsztaty teatralne.

Warsztaty, dzięki finansowemu wsparciu Starostwa Powiatowego w Śremie, trwają już trzeci rok. Jestem przekonana, że dzięki nim uczniowie mają możliwość poznawania prawdziwej pracy aktorskiej. Dzieci mają okazję uczyć się bawić, a jednocześnie przybliżyć się im teatr, jego tajniki, które później my na-

uczyciele możemy wykorzystać na lekcjach. Przygotowujemy również pod fachowym okiem przedstawienia. Jedno z nich prezentowaliśmy w Zbąszyniu, podczas Przeglądu Artystycznego Dzieci Niepełnosprawnych. Warsztaty mają również charakter terapeutyczny. Pozwalają uczniom odreagowywać, uczą metod relaksacyjnych, pomagają na swobodne wyrażanie i nazywanie swoich uczuć. Podnoszą u naszych uczniów poczucie wartości.

Uważam, że warsztaty teatralne oraz kontakt z p. Janem Sipem uczniom Zespołu Szkół Specjalnych w Śremie oraz nam nauczycielom przynosi wymierne efekty.

Krystyna Rymaniak



Współpraca Przedszkola nr 2: „Słoneczna Gromada” z Fan Clubem Teatru Polskiego w Śremie.

Już drugi rok trwa współpraca dzieci przedszkolnych z aktorami Teatru Polskiego z Poznania najpierw z p. Woronieckim, obecnie z W. Siedleckim. Myślą przewodnią tej współpracy jest rozbudzanie i ukierunkowanie aktywności artystycznej dzieci, wyposażenia ich w określony zasób wiadomości i umiejętności bycia aktorem i sposobu zachowania się na scenie.

Naturalną i spontaniczną aktywność dziecka w wieku 3-6 lat umożliwiają między innymi małe formy sceniczne.

Mają one wiele walorów natury psychologicznej i pedagogicznej:

- umożliwiają dziecku szukanie własnego wyrazu oddającego przeżycia, emocje, doświadczenie życiowe, które jednocześnie wzbogaca o nowe elementy nabyte w toku obserwacji, działania, kontaktów z innymi ludźmi – fachowcami w teatrologii, prawdziwymi aktorami,

- są czynnikiem rozładowującym napięcia psychiczne, wprowadzają w różnorodny wymarzony świat ról i nastrojów, często odmiennych od rzeczywistości, w której dziecko żyje na co dzień,

- pomagają w korygowaniu mikrodefektów (ruchu, ociężałości ruchowej, doskonałą i harmonizują ruchy dziecka, poprawiają dykcję i wyraziste mówienie – ćwiczenia w powtarzaniu wyrazów, grup spółgłoskowych są dla dziecka uciążliwe, natomiast powtarzanie w formie zabawowej, przy uczeniu się roli jest interesujące, często dowcipne, humorystyczne i dlatego wykonywane chętnie),

- doskonałą spostrzegawczość i uczą dokładnej (na miarę możliwości dziecka) obserwacji, uzasadniania postępowania (własnego i bohatera) wyciągania wniosków, rozumowania podczas odtwarzania ról różnymi technikami.

Teatrzyki dziecięce ułatwiają dziecku orientację w czasie i przestrzeni oraz poznanie własnych możliwości ruchowych. Poprzez różne przejawy aktywności ruchowej (ruchy rąk i nóg, bieganie, skakanie, skręty tułowia, zakrywanie i otwieranie oczu, zaciskanie dłoni) dziecko uczy się organizowania swoich ruchów w przestrzeni. Wyrabianie zwinności i pewnej precyzji ruchów ułatwiają zabawy pantomi-

miczne. Jest to łatwiejsza forma przekazania tego, co chce się wyrazić nie za pomocą słowa, tekstu. Ilustrowanie gestem, mimiką wymaga od dziecka trafnego, plastycznego przedstawienia sytuacji, osoby, przedmiotu.

- Obcowanie z aktorem daje także dziecku możliwość naśladowania właściwego użycia głosu, operowanie brzmieniem, doskonałą wymową, dykcją i dobrze uregulowanym oddechem.

Na spotkanie z aktorem dzieci czekają z utęsknieniem ponieważ przynosi im ono dużo radości i możliwość przebywania w świecie bajek i fantazji jako aktor lub widz.

Elżbieta Kubera

SPACEREM PO ŚREMIE I OKOLICY

Wycieczka wzdłuż Jeziora Grzymisławskiego

Styczniowa aura sprawiła nam sporą niespodziankę i nie przyniosła srogiej zimy. Jednak bez względu na pogodę można wybrać się na spacer po Śremie i okolicy. Na pierwszy miesiąc nowego wieku zaproponowałem Państwu wycieczkę do Łęgu wzdłuż Warty. I tym razem chciałbym opisać trasę spacerową w pobliżu akwenu wodnego – Jeziora Grzymisławskiego. Jest to teren bardzo spokojny i mało uczęszczany, który pomoże Państwu na oderwanie się, choć na chwilę, od spraw dnia codziennego i zrelaksowanie się.

Trasa nie jest długa, ma około 6 km. Nie ma na niej żadnych przeszkód naturalnych, które mogłyby sprawić komuś jakieś problemy. W większości biegnie drogami polnymi, z wyjątkiem części miejskiej.

Spacer, już tradycyjnie, zaczynamy spod dworca PKS w Śremie. Ulicą Zamenhofa docieramy do skrzyżowania z ulicą Grunwaldzką, gdzie skręcamy w lewo w stronę Odlewni Żeliwa. Idziemy szerokim chodnikiem wzdłuż Parku im. Śremskich Odlewników. Równoległe z trasą naszej wycieczki, przynajmniej przez dwa kilometry, biegnie szlak rowerowy koloru niebieskiego.

Na skrzyżowaniu z ulicą Staszica idziemy prosto w kierunku Klubu Odlewnika. Przechodzimy przez pięknie utrzymany teren przyzakładowy. Po kilkudziesięciu metrach kończy się droga asfaltowa, a zaczyna się szeroka droga szutrowa biegnąca wzdłuż zakładu. Kiedy dojdziemy do miejsca, gdzie nad drogą przechodzą rury ciepłota, zgodnie ze szlakiem skręcamy w prawo w stronę widocznych w oddali zabudowań. Cały czas poruszamy się drogą szutrową.

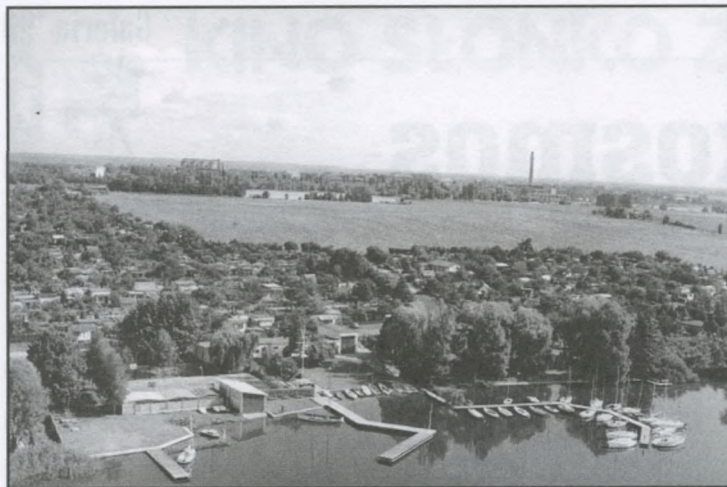
Po około 500 m dochodzimy do drogi, także szutrowej, biegnącej z Jezioran do Grzymysławia. Skręcamy w lewo i wśród pól, mając w zasięgu wzroku taflę jeziora, podążamy do wsi.



Przed dotarciem do Grzymysławia musimy zejść z jednej z wielu maren, które licznie otaczają rynną jeziora. Sama wieś jest bardzo stara, bo wzmiankowana już w XIII wieku. Malowniczo położona na wschodnim brzegu Jeziora Grzymisławskiego. W centrum wsi, nad brzegiem jeziora znajduje się przetrzebiony już park krajobrazowy z dworem z początków wieku XX.

Jezioro Grzymisławskie ma powierzchnię około 175 ha i jest typowym jeziorem rynnowym, położonym w głębokiej dolinie.

Wchodząc do wsi mijamy zabudowania należące do Gospodarstwa Pomocniczego Centralnego Ośrodka Badawczego Odmian Roślin Uprawnych z Wójtostwa, potem park wraz z pałacem, a następnie za boiskiem do gry w



Z terenu kąpieliska idziemy cały czas równolegle do linii brzegowej akwenu, dochodząc do bramy wyjściowej. Stamtąd drogą prowadzącą wśród kolejnej grupy ogródków działkowych dochodzimy, skręcając w prawo po około 400 m, do zabudowań osiedla Jeziorany na ulicy Okulickiego.

Idziemy prosto, mijając budynek spółdzielni mieszkaniowej docieramy do ulicy 1 Maja, która doprowadzi nas do ulicy Zamenhova i dworca PKS, gdzie kończymy spacer.

Trasa do Grzymysławia jest trasą bardzo łatwą, pozwalającą na podziwianie niespotykanych widoków, a także relaksacyjną. Na ten spacer z

piłkę nożną skręcamy w prawo w stronę jeziora i drogą polną idziemy wzdłuż jego brzegu.

Po kilkuset metrach dochodzimy do starej żwirowni. Tutaj proponuję zakończyć spacer i udać się w drogę powrotną. Jeżeli jednak ktoś ma ochotę iść dalej, może to uczynić pokonując następny odcinek drogi biegnącej jeszcze kawałek i kończącej się w miejscu, gdzie rozciąga się wspaniały widok na drugi brzeg akwenu.

Wracając musimy iść tą samą drogą do Grzymysławia. We wsi możemy iść nadal wzdłuż brzegu wąską ścieżką, którą dojdziemy do drogi biegnącej do kąpieliska miejskiego. Wybierając ten wariant należy wziąć pod uwagę, że jest to ścieżka bardzo wąska i rzadko uczęszczana. Jeżeli więc będą mieć Państwo wątpliwości proponuję obejście tego odcinka idąc tą samą drogą w stronę Jezioran, z tą różnicą, że na pierwszym skrzyżowaniu zamiast podążać dalej do miasta, skręcamy w lewo w kierunku widocznych ogródków działkowych. W ten sposób obejdziemy problematyczny odcinek.

Z tego miejsca prowadzi już polna droga w kierunku kąpieliska miejskiego. Idąc nią mijamy po drodze wspomniane działki, a także przystań żeglarską i woprówkę.

powodzeniem można zabrać ze sobą psa. Mam nadzieję, że wycieczka ta, choć krótka, sprawi Państwu wiele przyjemności i pozwoli miło spędzić czas. Życzę dobrej pogody.

Bartosz ŻELEŹNY

Foto:

- 1 – Budynek głównego biurowca Odlewni Żeliwa Śrem
- 2 – Widok brzegu Jeziora Grzymysławskiego z lotu ptaka.
- 3 – Przystań żeglarska nad Jeziorem Grzymysławskim.



Mikrokosmos

Do istnienia rzeczy niewidzialnych przyzwyczailiśmy się tak bardzo, że świadomość ta nie robi na nas większego wrażenia. I nie o świat nierealny lub niematerialny tu chodzi, lecz o naszą twardą, konkretną, namacalną, fizyczną rzeczywistość. Jednym tchem mówimy o bakteriach, wirusach, genach i prionach (ostatnio szczególnie często!), a tak naprawdę nikt poza wąskim gronem specjalistów dysponujących odpowiednimi metodami badawczymi i oprządkowaniem nie potrafi wykryć ich obecności, a cóż dopiero zobaczyć! Ten świat nie jest dostępny bezpośrednio naszym zmysłom i większość z nas musi w jego istnienie wierzyć, co więcej, dla własnego dobra starać się musimy, aby była to wiara niezachwiana i gorąca. Niedowiarków czeka niemiła lub wręcz groźna niespodzianka!

Na szczęście, jest to również świat fascynujący swoim niezwykłym pięknem. Zupełnie niedostrzegalnym, na co dzień, a jednak istniejącym i otaczającym nas wokół.

Fascynacja tym właśnie unikatowym pięknem leży u podstaw pomysłu zaprezentowania wybranych fotografii w formie zwartej ekspozycji, nie bacząc na ich treść naukową i merytoryczne znaczenia obrazów. Jedynym kryterium niech będą walory estetyczne. Pamiętać jednak należy, że są to zdjęcia robocze, wykonane w trakcie badań naukowych i wykorzystywane w tych badaniach, proszę więc wybaczyć ich niedoskonałości techniczne. Zdjęcia opatrzone zostaną opisem merytorycznym, ważniejsze wydają się być jednak komentarze artysty, kierownika galerii i organizatora wystawy, Pana Jerzego Jurgi, któremu autor składa serdeczne po-

dziękowania za zainteresowanie i wysilek włożony w realizację – miejmy nadzieję dobrego – pomysłu.

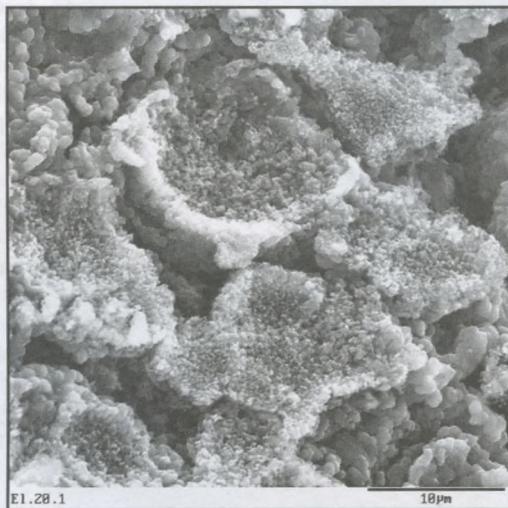
Zapraszam na wyprawę poza nasz świat, w krainę nieskończonych małości, gdzie włos jawi się jak pień drzewa, a pyłek jest głazem. Zobaczycie Państwo rzeczy, o których być może słyszeliście, ale i takie, o których nawet się nie śniło!

Wszystkie prezentowane obrazy pochodzą z archiwum Laboratorium Półprzewodników Organicznych, pracującej w Śremie od roku 1993 grupy badawczej Zakładu Syntezy i Struktury Związków Organicznych na Wydziale Chemii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i dotyczą programu badań materiałów, zarówno w zakresie ultranowoczesnych materiałów nanostrukturalnych oraz nanotechnologii, jak i badań preparatów archeologicznych (archeometrii).

Prace badawcze finansowane były przez The Royal Society of Chemistry w Londynie, Unię Europejską (program COST i SCI-PHARE), Komitet Badań Naukowych, międzyuczelniane programy badawcze (UAM-AM) i interdyscyplinarne programy badawcze UAM, a także w ramach badań archeologicznych palatium Mieszka I na Ostrowie Tumskim w Poznaniu (pierwsza stolica Polski?).

Ta - między innymi - tematyka jest właśnie przedmiotem studiów o specjalności Chemia Materiałowa na Wydziale Chemii UAM. Zapraszam więc szczególnie młodzież, przyszłych śremskich studentów - taka specjalność jest tylko w Śremie!

Jerzy LANGER





KINO SŁONKO ZAPRASZA W MARCU

BAJLAND

2-5.03. piątek-poniedziałek, godz. 19.00 czas: 100 min.

Czarna komedia z gatunku political fiction, która jako tło wykorzystuje wyścig wyborczy i towarzyszący mu chaos w mediach. Bohater filmu jest kandydatem prezydenta w wyborach 2000 roku w Polsce, który nagle, pomimo najlepszych notowań w rankingach, wycofuje się z kampanii wyborczej. W czasie walki wyborczej przedstawia siebie jako zawodowego kłamcę i postanawia rozdać wszystko, co wcześniej zdobył. Nie spodziewa się jednak jak trudnym problemem może okazać się dawanie. W rolach głównych zobaczymy Wojciecha Pszoniaka, Emila Karewicza, Olafa Lubaszenkę i Stanisława Celińskiego.

INFORMATOR

9-12.03. piątek-poniedziałek, godz. 19.00 czas: 157 min.

Film oparty na wydarzeniach autentycznych, wyreżyserowany przez Michaela Manna. Pracownik koncernu tytoniowego (w tej roli Al Pacino) zostaje zwolniony z pracy. W jakiś czas później udziela wywiadu telewizyjnego, w którym oskarża swych byłych pracodawców, iż mieszają tytoń z substancją chemiczną szkodliwą dla zdrowia. Koncerny tytoniowe podejmują akcję odwetową.

POZNAJ MOJEGO TATĘ

16-19.03. piątek-poniedziałek, godz. 19.00 czas: 107 min.

Komedia. Pielegniarz Greg Focker (Ben Stiller) postanawia poprosić o rękę swoją narzeczoną Pam (Teri Polo). Niestety, jego dziewczyna woli, aby Greg oświadczył się w tradycyjny sposób, czyli o jej rękę poprosił ojca (Robert de Niro). Nie mając wyboru Greg wraz z narzeczoną wybiera się poznać przyszych teściów. Na miejscu jednak okazuje się, że zdaniem ojca Pam pielegniarz nie nadaje się na męża dla jego ukochanej córki i na każdym kroku stara mu się to udowodnić. Pobyt u rodziców Pam staje się dla Grega piekłem na ziemi.

102 DALMATYŃCYKI

20.03. wtorek, godz. 17.00 czas: 120 min.

Film jest kontynuacją wielkiego przeboju sprzed lat pt. „101 Dalmatyńczyków”. Akcja obrazu rozgrywa się kilka lat po wydarzeniach oglądanych w części pierwszej. Cruella DeMon opuszcza więzienie i postanawia zemścić się na psach, które doprowadziły do jej uwięzienia. Występują m.in. Glenn Close i Gerard Depardieu.

CAST AWAY – POZA ŚWIATEM

23-26.03. piątek-poniedziałek, godz. 19.00 czas: 120 min.

Najnowszy film Roberta Zemeckisa z Tomem Hanksem w roli głównej. Tom Hanks wcielił się w postać Noland. Służbowy samolot, którym leci ulega wypadkowi na Południowym Pacyfiku. Jest jedyną osobą, która przeżywa katastrofę. Noland jest zmuszony do życia na bezludnej wyspie. Po trzech latach samotności zostaje odnaleziony. Powraca do cywilizacji, w której musi się ponownie odnaleźć. Hankowski partneruje Hellen Hunt.

CZERWONA PLANETA

30.03.-2.04. piątek-poniedziałek, godz. 19.00 czas: 106 min.

Ekipa amerykańskich astronautów jest w trakcie pierwszej ekspedycji na Marsa. Ziemia jest umierająca planetą i nowe kolonie na Marsie są dla ludzkości jedyną nadzieją. Wypadek sprawia, że sprzęt i ekwipunek astronautów zostaje zniszczony. Aby przeżyć załoga musi polegać tylko i wyłącznie na sobie, a jej członkowie zostają zmuszeni do pokonania różnic własnych osobowości, pochodzenia i idei, w które wierzą.

KOSMICZNI KOWBOJE

13.03. godz. 19.00 czas: 130 min.

Piloci zespołu Deadluln należeli do najlepszych, najbardziej utalentowanych pilotów NASA. Byli odważni i szybcy. Byli przyszlcością. Powszechnie sądzono, że to właśnie oni utworzą ludzkości drogę w przestrzeń kosmiczną. Perspektywa lotu w kosmos była realna i bliska, lecz rząd miał inne plany. Zespół Deadluln zawieszono. Czterdzieci lat później awarii ulega rosyjski satelita. Jedynymi osobami, które mogą go naprawić, są byli członkowie zespołu Deadluln. Po latach otrzymują jeszcze jedną szansę wyruszenia w kosmos i spełnienia swoich marzeń. W filmie zobaczymy: Clintę Eastwooda, Tommy Lee Jonesa, Donalda Sutherlanda i Jamesa Garnera.

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO

27.03. godz. 19.00 czas: 120 min.

Bohaterem najnowszego filmu Juliusza Machulskiego jest 50-letni biznesmen Tomasz Adamczyk (Marek Kondrat), który chce zrezygnować z prowadzenia interesów w branży winiarskiej i poświęcić się swojej pasji życiowej, czyli filozofii. Pomyśl ten nie przypada do gustu jego współnikowi (Andrzej Chyry). Do tego wszystkiego, Tomasz ulega wypadkowi i zostaje wzięty jako zakładnik przez miłośników produkowanego przez siebie wina.

IMPREZY:

**WYTWÓRNIĄ A'YOY przedstawia „KABARET KRÓTKICH FILMÓW”
czyli Monthy Python po polsku**

Wytwórnia Filmów Krótkich A'YOY założona przed laty przez kabaret POTEM, opanowana później przez inne kabarety z Zielonej Góry. W chwilach wolnych od prób i występów biorą kamerę i kręcą coś, co upierają się nazywać filmami. Podstawą działalności Wytwórni jest zasada: minimum pieniędzy, maksimum entuzjazmu. Zadaniem filmów jest wywołanie u poważnych krytyków uczucia zagubienia we wszechświecie, a u zwykłych widzów wrażenie, że Archimedes niepotrzebnie wyskakiwał z wanny. Podstawowym produktem A'YOY są filmy krótkie (30 sekund – 3 minuty). Filmy są tworzone chałupniczo, a więc przed projekcją należy odpedzić widzów z wymagania. Zaniechanie powyższego może spowodować lawinę nieodpowiedzialnych pytań o jakość techniczną filmów A'YOY – co nie jest celem pokazu. Na spotkaniu z wytwórnią A'YOY zostanie zaprezentowanych pięćdziesiąt filmów (no dobra – trzydzieści) w rekordowym czasie – godzina. Pokaz komentuje Władysław Sikora (Kabaret „POTEM”). Porzuć wszelkie nadzieje – a będziecie się dobrze bawić. 24.03. godz. 18.00, Kino „Słonko”, cena biletu: 8-zł.

Scena Teatralna Kina „Słonko” zaprasza:

„SCENARIUSZ DLA TRZECH AKTORÓW” – spektakl w wykonaniu Jana Peszka oraz Andrzeja i Mikołaja Grabowskich.

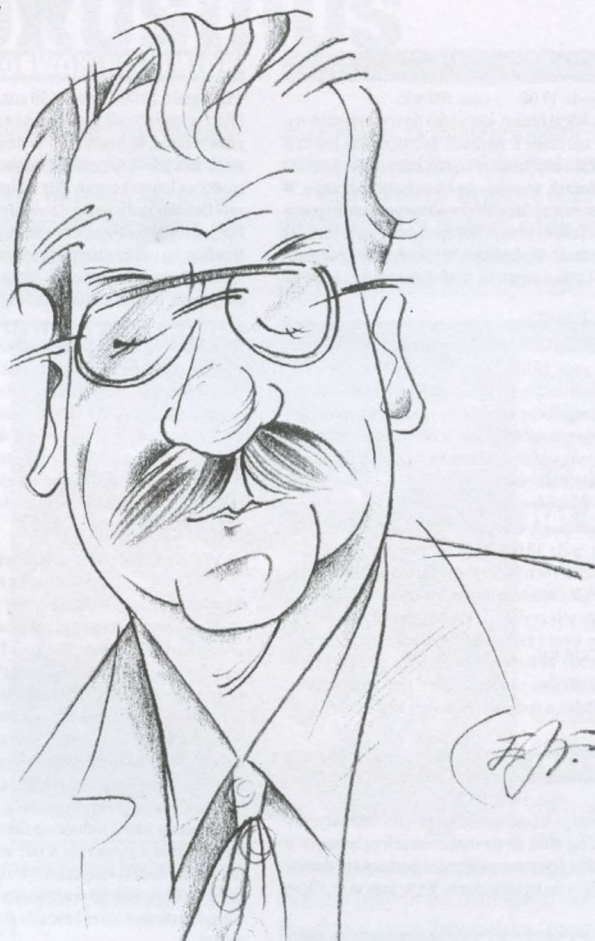
31.03. godz. 17.00, cena biletu: 30,- zł.

Karnawał 2001 zakończył się w ŚOK-u tradycyjnym balem przebierańców. Bywalcy i tym razem zakończyli pomysłami strojów, w których nie zabrakło aktualnych tematów (np. Adam Małysz czy wściekle krowy). (patrz foto: 3 str. okładki)

Salon Artystyczny „Kuliś teatru” 21 lutego 2001 roku

Program Salonu:

WIELKOPOLSKA SCENA NA PIETRZE – Gospodarz – Romuald Grząślewicz, Prezes Fundacji „Tęspis” i Kierownik Artystyczny „Sceny Na Pietrze”. Goście – Emilia Krakowska i Barbara Wrzesińska aktorki scen polskich
ŚREMskie INSPIRACJE TEATRALNE – Goście – Magdalena Konieczna – teatr w gimnazjum. Krystyna Tomaszewska – „Teatr na Strychu”. Andrzej Tomaszewski – grupy teatralne ŚOK



Wiesław Romanowski

GAZETA ŚREMSKA - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938

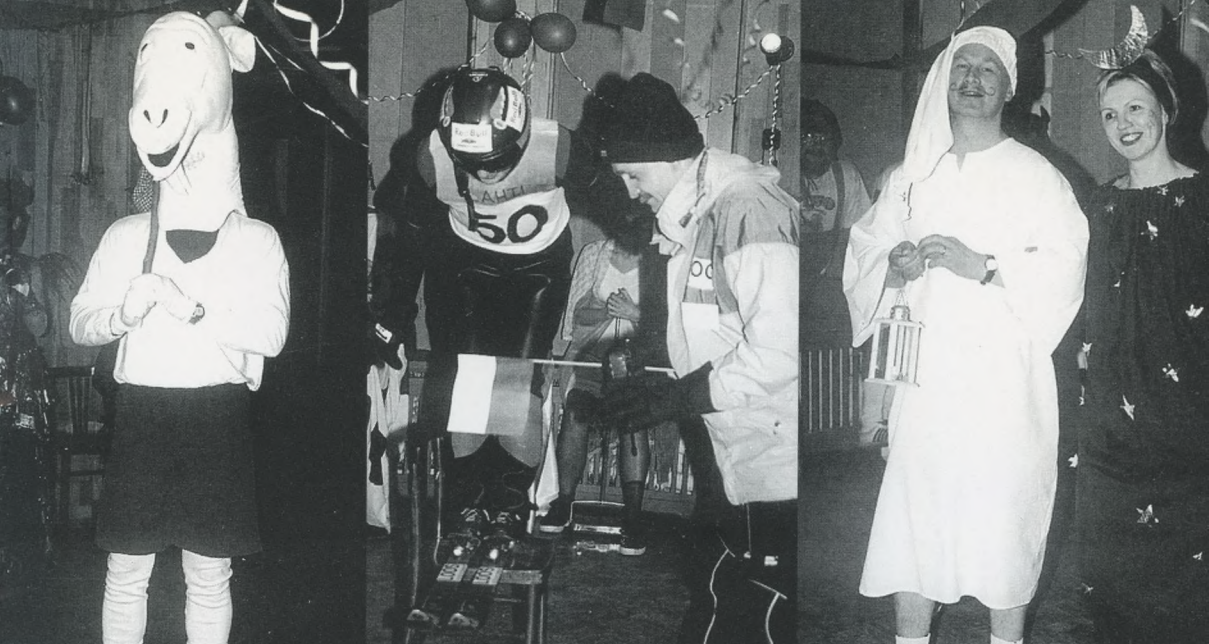
Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

Wydawca: Zarząd Miejski w Śremie

Skład komputerowy, fotonaświetlanie: WIGO Pracownia Informatyczno-Graficzna, Śrem, tel./fax (061)28-30-216.

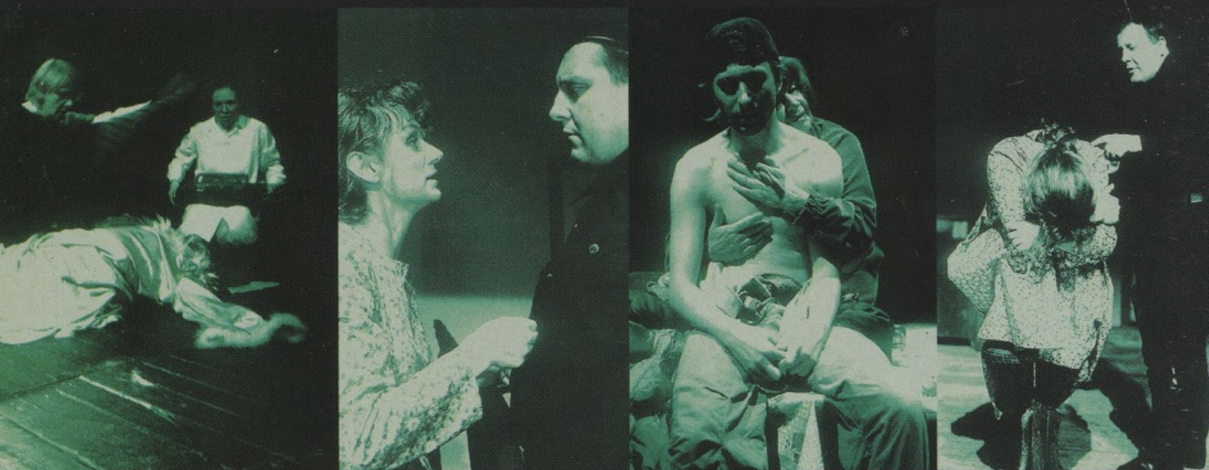
Druk: Firma EM Osiewicz Ewa, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.



KARNAWAŁ 2001





Fot. Bogusław Biegowski

Śremski Fan-Club



Teatru Polskiego
w Poznaniu

63-100 Śrem
ul. Chłapowskiego 1
KLUB RELAKS
Tel. 0 61 283 42 41 w.32